

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYŚ. PATRYK KOCH. FOT. SHUTTERSTOCK (6) / UNSPLASH (2)

Wywiad / M3

My też mamy prawo atakować Rosję

Gdy Rosjanie coś dostają, dochodzą do wniosku, że to oznaka słabości i można docisnąć. To standardowa praktyka ich prymitywnej dyplomacji. Nie wiem, dlaczego ludzie dalej się na to łapią
mówi Mychajło Podolak

Ukraina / M5

Sprawa Jermaka: Ali Baba, wróżka i wille z Dynastii

Kiedy trwały masakry w Buczy i Iziumie, najważniejsi politycy szukali robotników do wykończenia wnętrz. W jakiś perwersyjny sposób świadczyło to o ich wierze, że państwo przetrwa, gdy wielu nie było jeszcze tego pewnych
korespondencja Michała Potockiego z Kijowa

Gospodarka / M18

Wracamy nad morze

Pomorze zaczyna być wreszcie postrzegane jako ogromny atut ekonomiczny i przestrzeń dla nowych możliwości rozwojowych
zauważa Piotr Wójcik

Opinia / M22

Groźny sojusz prezydenta z prezesem NBP

Narzędzia monetarne są ukrytym sposobem zwiększania opodatkowania, dlatego kontrola nad nimi nie powinna znajdować się w rękach władzy wykonawczej
przypomina Andrzej Wojtyna



FOT. WOJTEK GORSKI

Przyjdą nowi i przywalą

Jan **Wróbel**

Tak, powinno być właśnie tak, jak pisze Patryk Słowik (Zero.pl): „Rozliczanie nie może stanowić alibi dla własnego zawłaszczania. Nie może być tak, że ekipa, która przyszła pod hasłem odpartyjnięcia, wprowadza swoich politycznych kompanów jeszcze szybciej”. Słowa te nasunęły mi się po odkryciu, że w Sieci Badawczej Łukasiewicz dobrze się czują partyjne układy i układziki. Nic dziwnego: instytucja ogromna, o skomplikowanej strukturze, nastawiona na osiągnięcie wielkich celów. I to celów niełatwych w weryfikacji (bo nie chodzi tylko o odkrycia naukowe, lecz także o połączenie kropek – wyników naukowych – odpowiednimi nićmi prowadzącymi do wykorzystania nauki w służbie gospodarki w zglobalizowanym świecie). „W ramach przygotowywania materiału zwróciliśmy się o stanowisko do obecnych władz sieci. I z odpowiedzi wynika, że o wiele mniej uwagi poświęcają swoim osiągnięciom niżeli ocenianiu poprzedników” – denerwuje się Słowik.

W moim idealnym świecie jest jak w świecie Patryka Słowika. Skoro coś kosztuje znaczą-

ce pieniądze publiczne, to znaczy, że odpowiednie władze dbają o ich wydawanie, a nie o PR i o to, by coś z tego wydawania mieć... dla koleżanek i kolegów. W praktyce nie wiem, jak doprowadzić do tego, by dobre praktyki były oczywistym standardem. Zbudowaliśmy nieco inny system. Kierowanie instytucją publiczną prawie na pewno skończy się źle dla kierownictwa. Przyjdą następcy i przywalą. Jeżeli staraliśmy się rozwijać „firmę” mimo gorsetu przepisów (tych związanych z radością twórczością państwową i tych grantowych, uniijnych itd.), to okaże się, że dokonywaliśmy „przestępstw urzędniczych”. Jeżeli trzymaliśmy się ostrożnie przepisów, to wyjdzie na to, że byliśmy biurokratycznymi larwami. A jeżeli podzielimy się serkiem z koleżeństwem, to wyjdzie na to, że mamy na imię Nepot, a na nazwisko Koleś.

A tak całkiem na serio. Na styku państwa i dużych pieniędzy trudno jest utrzymać równowagę bez wsparcia politycznego. W ramach tego wsparcia wyrzekamy na starych, a dopuszczamy do sera nowych. Irytujące, ale działa. ©



FOT. AN RONG XU/THE WASHINGTON POST VIA GETTY IMAGES

Tajwan / M14

Przejąć bez oddania strzału

Na Tajwanie narasta sceptycyzm co do tego, czy USA przyjdą mu z pomocą w razie chińskiego ataku. Nastroje te podsyca sam Pekin, licząc na to, że doprowadzi to do zjednoczenia bez użycia siły
pisze Maria Wiśniewska

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec
Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PIK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Plac:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KIP i UİŚ)



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczone jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykl, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpatności; ©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FIP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Osmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.



Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

My też mamy prawo atakować Rosję



RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3)

Gdy Rosjanie coś dostają, dochodzą do wniosku, że to oznaka słabości i można dociskać. To standardowa praktyka ich prymitywnej dyplomacji. Nie wiem, dlaczego ludzie dalej się na to łapią

Z Mychajłem

Podolakiem

rozmawia w Kijowie Michał Potocki

Na 9 maja uzgodniliście z Amerykanami i Rosjanami trzydniowy rozejm oraz wymianę jeńców w formacie 1000 na 1000. Czy omawiano cokolwiek innego, np. powrót do rozmów pokojowych, zawieszonych po wybuchu wojny amerykańsko-irańskiej?

Nowych tematów nie było. Najważniejsze były sprawy humanitarne, ale i możliwość wstrzymania wzajemnych ostrzałów raketowych i dronowych. Strona amerykańska jest maksymalnie zaangażowana w wojnę na Bliskim Wschodzie, która też jest daleka od rozstrzygnięcia, za to mocno wpływa na rynki energetyczne i logistykę. Rosja próbowała wykorzystać ten moment, uznawszy, że otworzyło się przed nią okno możliwości, ale to nie tak. Informujemy o tym mediatora, czyli

stronę amerykańską. A w przededniu parady widzieliśmy dość historyczne komunikaty samego Putina i innych przedstawicieli władzy.

Padła też mglista propozycja rozejmu lotniskowego. Co mielibyście dostać w zamian za zostawienie w spokoju rosyjskich portów lotniczych?

Możliwość uruchomienia lotnisk. To właściwie to samo, co rozejm w powietrzu, bo trzeba by wstrzymać drony i rakiety. Cywilne lotnictwo

nie ruszy, dopóki to ryzyko istnieje, firmy ubezpieczeniowe będą odmawiać zawierania kontraktów. Szukamy formatu, który pozwoli rozpatrzyć taką propozycję. Skoro nie udało się doprowadzić do zawieszenia ostrzałów sektora energetycznego, rozmawiamy o lotniskach. Na razie blokujemy im kluczowe węzły w części europejskiej: Moskwę, Petersburg, inne miasta. Ta propozycja to próba znalezienia platformy do racjonalnej rozmowy o wstrzymaniu

pewnej części działań bojowych. Przy czym rozumiem, że Rosja nie może się powstrzymać od uderzeń w głąb naszego terytorium, bo na tym polega podstawowy sens tej wojny. Moskwa może mówić, że ją prowadzi, bo atakuje cele cywilne, centra miast. Na linii frontu panuje stagnacja. Dominują drony, siła żywa nie ma takiego znaczenia, jak jeszcze rok temu. Dla Rosji rezygnacja z ostrzałów z powietrza oznaczałaby przejście do realnego procesu negocjacyjnego. Na wstrzymanie aktywnej fazy wojny na razie nie jest gotowa.

Bez całkowitego wstrzymania dronów żadne lotnisko nie wznowi działania.

Chodzi przede wszystkim o znalezienie płaszczyzny, która pozwoliła by na jakieś uzgodnienia. Dotychczas Rosja uważała, że tylko ona ma prawo nas atakować, a my jej nie. Sytuacja się zmieniła. Przy czym w naszych atakach nie chodzi o efekt medialny. To systemowa praca skupiająca się na konkretnych obiektach, które generują dochody, np. w branży naftowej, albo są ważnymi elementami produkcji zbrojeniowej. Powtarzalne uderzenia uniemożliwiają naprawę i wznowienie produkcji. Szukamy możliwości, by Rosja zaczęła rozmawiać o problemach, a nie tylko o swoich marzeniach o tym, co mamy jej oddać. Na razie realnego procesu negocjacyjnego nie ma. Putin i jego otoczenie są mocno oderwani od rzeczywistości.

Wasz sukces informacyjny związany z rosyjską paradą i ostrzały w głębi Rosji pomogły w zmięczeniu Kremla?

Mamy inną retorykę, ale Rosja dalej żąda od nas wycofania się z pewnych terytoriów. Putin i jego rzecznik Dmitrij Pieskow starają się odbudować po informacyjnym kolapsie pierwszej dekady maja. Nadal chcą, byśmy oddali im za darmo coś, czego nie są w stanie od lat zająć siłą. To nonsens, ale i świadectwo tego, że Rosji brakuje dobrej woli, by zaangażować się w proces negocjacyjny.

9 maja Władimir Putin mówił, że jest gotów spotkać się z „panem Zełenskim” nawet poza Rosją. I on, i Donald Trump dodali, że wojna zbliża się do końca.

To coś znaczy czy jak zwykle nic?

Coś się zmienia. Przy czym nie chodzi o jedno czy drugie oświadczenie. Widać to też po dyskusji w samej Rosji. Widzimy, jak reagują prowojenni propagandyści. Z drugiej strony Putin zawsze kłamie. To jego strategia. Nawet jeśli się boi, chce zyskać na czasie i szuka korzyści dla siebie. Dlatego imitował rozmowy. We wszystkich rundach aktywnie uczestniczyli przedstawiciele Rosji, w tym niesławny Kirył Dmitrijew. Proponowali Amerykanom złote góry, projekty w Arktyce, ale w rzeczywistości była to gra na czas. Sądziłem, że wojna na Bliskim Wschodzie da im nowe możliwości. Wyszło odwrotnie. Paradoksalnie Ukraina wzmocniła swoją podmiotowość. Dowiedli-



FOT. LAFARGUE RAPHAEL/ABACA PRESS/FORUM

Mychajło Podolak, doradca w biurze prezydenta Ukrainy

śmy, że możemy być partnerami, także dla USA, możemy oferować gotowe rozwiązania technologiczne na potrzeby współczesnej wojny. Putin sam z siebie do stołu rozmów nie zasiądzie. Trzeba go do tego zmusić maksymalizacją strat.

W jaki sposób?

Po pierwsze, poprzez militaryzację Europy, co już się dzieje. Po drugie, znaczące zwiększenie uderzeń w cele w głębi Rosji. Te możliwości też rozbudowujemy, chociaż poza dronami powinno być więcej rakiet z większą siłą rażenia. Po trzecie, światowi liderzy powinni przestać opowiadać, że Putin to dobry chłopak, z którym można zawrzeć piękne porozumienie. To nonsens, w dodatku taki, który daje mu poczucie, że jeszcze trochę i dostanie więcej, niż zasłużył.

Wołodimir Zełenski wspominał, że niektórym europejskim partnerom nie podobają się ostrzały celów w głębi Rosji. Faktycznie tak jest?

W pewnym sensie. Ale ja do tego podchodzę spokojnie. To inercja związana z obawą, co będzie się dziać na rynkach energetycznych, skoro Trump nie zdołał odblokować cieśniny Ormuz. Ktoś w Europie mógł uznać, że Rosja może być alternatywnym źródłem ropy. Prezydent słusznie powiedział: Wyjdźcie i powiedzcie wprost, że jesteście gotowi, by nas tu zabijali, żebyście mogli płacić pół dolara mniej za baryłkę. Jak inaczej rozumieć propozycje, byśmy nie odpowiadali na rosyjskie ataki? My się tylko bronimy. To Rosja ostrzeliwuje cele cywilne, my pryncypialnie bijemy w infrastrukturę i energetykę. Inaczej nie zdołamy zmusić Rosji

do wstrzymania aktywnej fazy działań bojowych.

Uderzacie, bo macie broń własnej produkcji. W 2022 czy 2023 r. była cała epopeja z przekonywaniem Amerykanów i Niemców, by pozwolili wam użyć do tego zachodniej broni.

To pokazuje fundamentalną zmianę, która zaszła w tej wojnie. Teraz zależy przede wszystkim od siebie, choć oczywiście nadal współpracujemy z partnerami. Rosja to rozumie. W 2022 r. mogła liczyć, że jakoś naciśnie zachodnie demokracje liberalne, żeby spowalniały dostawy albo w ogóle ich nie realizowały. Pamiętamy rozmowy o rakietach niemieckich czy amerykańskich. Rosja sądziła, że zawsze będzie miała przewagę w środkach rażenia dalekiego zasięgu, w możliwości prowadzenia wojny na odległość. To już nieaktualne. Mamy sprawny przemysł, produkujemy drony i rakiety, które dają nam większą samodzielność. Musimy zwiększyć tę produkcję, szukać dezskalacji poprzez eskalację, żeby atakujący rozumiał, iż na każdą swoją raketę otrzyma odpowiedź jedną, potem dwiema czy trzema naszymi.

Wojskowe cele uderzeń w głębi Rosji są jasne. A czy stawiacie sobie cele polityczne?

Polityczne też są zrozumiałe. Rosja wreszcie zaczęła odczuwać tę wojnę na swoim terytorium. Widać depresyjne nastroje, rosnącą konfliktowość społeczeństwa. Zamiast rozmawiać o wojnie, zaczyna w niej żyć. A to będzie wpływać na politykę. Jesienią odbędą się w Rosji nibywybory. To oczywiście imitacja niczym w Związku Radzieckim...

...ale trzeba będzie pójść na głosowanie.

I ludzie mogą skorzystać z okazji, by zadawać pytania, a te mogą destabilizować autorytarną strukturę władzy, podsycać niepewność w administracji. Rosjanie się tego boją. Od początku mówiłem, że tylko przeniesienie wojny na terytorium Rosji może zmusić ją do zajęcia miejsca, które powinna zajmować. To nie jest supermocarstwo, które może dyktować innym, co mają robić.

Będziecie systematycznie ostrzeliwać Moskwę (rozmowa przeprowadzona przed atakiem z 17 maja – red.)? Również elity zaczną wtedy odczuwać skutki wojny. Nie chodzi o efekt wizualny, tylko o celowość uderzeń. Rosjanie koncentrują wokół Moskwy swoje zestawy przeciwlotnicze. Nie mają ich tak dużo, by ochronić wszystkie obiekty, więc ściągają je do Moskwy. Inne miasta z interesującymi obiektami infrastrukturalnymi czy wojskowymi, przemysłem naftowym i chemicznym, będą bezbronne. Uderzenia w nie tak czy inaczej będą wpływać na Moskwę: na utratę miejsc pracy, dochodów – również ludzi z otoczenia Putina, którzy zarabiają na obsłudze wojny.

Wspomniał pan o kilku rundach rozmów pokojowych. Czy po którejkolwiek z nich ukraińska delegacja uznała, że udało się uzgodnić coś konkretnego albo zbliżyć do porozumienia?

Każda runda była konstruktywna, o ile otwierała drogę do wymiany jeńców. Co do politycznych decyzji, ani teraz, ani w 2022 r. nie widzieliśmy u Rosjan konstruktywnej postawy. Była jedna runda z udziałem szefa wywiadu wojskowego Igora Kostiukowa, podczas której omawiano kwestię kontroli i monitorowania linii rozgraniczenia. Techniczne niuansy. To były mniej więcej konstruktywne rozmowy, bo o konkretnych wyzwaniach. Rozmowy polityczne były niekonstruktywne. Nie było delegatów, którzy chcieliby bazować na faktach i którzy by rozumieli, że wojna nie idzie zgodnie z ich scenariuszem.

W prasie można poczytać o różnych wariantach ugody w sprawie Donbasu: uczynienie z niego zdemilitaryzowanego Trumplandu, wprowadzenie międzynarodowej administracji, wymiana ziemi na zasadzie kilometr za kilometr. Takie warianty faktycznie były omawiane?

Omawiać można dowolne warianty, ale stanowisko prezydenta Ukrainy zostało jasno sformułowane: nikt niczego Rosji nie będzie oddawać. Nie rozumiem, jak miałyby to wyglądać. Oni nie mogą od czterech lat zająć tego terenu, a my mielibyśmy go dobrowolnie oddać? To są i zawsze będą nasze terytoria. Jest jeszcze jedna rzecz: kto panu powiedział, że jeśli oddamy Donbas, to Rosja skończy wojnę? Dzisiaj mówią: Najpierw Donbas, potem rozmowy. I podczas tych rozmów wysuną roszczenia do Zaporozża, Chersonia, zażądają ustępstw związanych z językiem rosyjskim i rosyjską Cerkwią.

Tradycyjna rosyjska metoda maksymalizacji żądań, by zdobyć więcej, niż można było początkowo.

Jest problem z ludźmi, którzy nie rozumieją Rosji. Gdy Rosjanie coś dostają, dochodzą do wniosku, że to oznaka słabości i można dociskać. To standardowa praktyka ich prymitywnej dyplomacji. Nie wiem, dlaczego ludzie dalej się na to łapią.

Wydaje mi się, że to wpływ zachodniej kultury negocjacji, w której strony zasiadają do rozmów w dobrej wierze i z zamiarem poszukania akceptowalnego kompromisu.

Tutaj mamy rozmowy na zasadzie „co wasze, to moje”. Najpierw ktoś zabija moich współobywateli, a potem żąda oddania tego, czego nie zdołał odebrać. To nie dobra wola, lecz absurd. Powiem więcej. Moderator negocjacji ma do odegrania pewną rolę. Stany Zjednoczone rozmawiały z Ukrainą. Przekazaliśmy im obiektywny obraz

WYWIAD

realiów pola boju, opowiedzieliśmy o ostrzałach dalekiego zasięgu, o tym, kto jakie ma karty w rękach, jak oni lubią mówić. Moderator posłuchał i poszedł do drugiej strony. Od Rosji usłyszał żądanie, byśmy coś jej oddali. Rolą moderatora jest powiadomienie, dlaczego po czterech latach wojny te wymogi są nierealistyczne, by potem móc toczyć bardziej realistyczne rozmowy. A kiedy moderator wraca do nas i mówi, że oni chcą Donbasu...

I bez tego wiecie, że chcą Donbasu.

Nie na tym polega funkcja moderatora. Polega na pracy ze stronami. Nam się całkiem komfortowo pracuje z Amerykanami. Chcielibyśmy, żeby tak samo moderowali ten proces z Rosją, tłumacząc jej, dlaczego żądania z 2022 r. nie mogą zostać zrealizowane w 2026 r.

Z tego, co pan mówi, wynika, że postępu nie ma i nie było. Skąd więc komunikaty prezydenta z grudniowej wizyty w USA o tym, że plan Kiriłła Dmitrijewa i Steve'a Witkoffa został uzgodniony w 90 proc.?

Prezydent uważał, że ludzie będą racjonalnie negocjować. Pokazujesz, co jest możliwe, co nie – i zaczyna się praca. Wydawało mu się, że skoro mamy moderatora o globalnym znaczeniu, to na podstawie naszego uzasadnionego stanowiska druga strona zacznie konstruktywnie rozmawiać o wstrzymaniu ognia. Okazało się, że nie, oni zupełnie nieadekwatnie przechodzą do rozmów. To nie znaczy, że należy je zerwać. Zwiększając skalę ostrzałów Rosji, zwiększamy zarazem nasz wpływ na te rozmowy, podbijamy własne znaczenie przy stole rokowań. Dobrze by było, żeby ktoś wreszcie powiedział Putinowi, że powinien się zatrzymać. Mogą to zrobić USA albo Chiny. Uważam, że najważniejsze, o czym można było porozmawiać na szczycie chińsko-amerykańskim, to nie cła i handel, lecz globalne zasady gry i pytanie, co robić z tymi, którzy je naruszają. Kiedy te globalne zasady zostaną ustalone, powinno się pójść z nimi do Putina.

Dla Chin jedyną czerwoną linią jest użycie przez Rosję broni jądrowej. Na nic innego Pekin nie reagował.

To pytanie o rolę, jaką chcą odgrywać. Nie możesz być państwem o globalnym znaczeniu, jeśli po prostu patrzysz na chaos i nie reagujesz.

Władze ukraińskie ostrzegają przed atakiem Rosji na państwa bałtyckie. Wywołuje to w tych krajach niejednoznaczne reakcje. Ale chciałem zapytać o coś innego. Czy biorąc pod uwagę rolę, jaką odgrywa dziś Ukraina, dopuszcza pan możliwość zaofiarowania Estonii, Litwie i Łotwie pomocy wojskowej?

Wspieramy naszych partnerów. Państwa bałtyckie dużo dla nas zrobiły, zwłaszcza na początku wojny.

Rozumiem ich reakcję, bo wojna jest straszna. Ale Rosja podwyższa stawkę. Polska też informuje o kolejnych cyberatakach na infrastrukturę. To są objawy eskalacji. Obserwujemy pewne działania Rosji wzdłuż granic Estonii. To nie musi być pełnowymiarowa inwazja. Mogą to być drony albo ich imitatory, mogą to być grupy dywersantów. Istnieją enklawy rosyjskich interesów, takie jak Dyneburg czy Narwa. Ostrzegamy jako partnerzy: bądźcie ostrożni, bo Moskwa może stworzyć nowe napięcia. Wspieramy naszych partnerów, ale szczegóły pozostawmy liderom.

Wojskowe wsparcie wchodzi w grę?

Też. Współpracujemy w tej sferze, rozmawiamy o wspólnej produkcji sprzętu, dronów i antydronów. Dzielimy się doświadczeniem w wykorzystaniu dronów w warunkach bojowych, oferujemy ekspertyzę w pełnym wymiarze zarówno państwu Bliskiego Wschodu, jak i krajom bałtyckim.

W tych krajach stacjonują kontyngenty różnych państw NATO. Prowadziliście rozmowy o rozmieszczeniu tam ukraińskich wojsk? Na razie to niemożliwe. Po pierwsze, sami znajdujemy się w gorącej fazie wojny, mamy deficyt siły żywej. Po drugie, sądzę, że NATO przejdzie transformację, biorąc pod uwagę stanowisko USA i nowe sposoby prowadzenia wojny, a także rolę odgrywaną przez Ukrainę. Pewnie pojawią się propozycje nowych sojuszy. To dobrze, co nie znaczy, że NATO powinno zniknąć. Sojusz Północnoatlantycki powinien pozostać ważną instytucją stabilizującą te czy inne regiony, zwłaszcza Europę.

Wiedzieliście, że Poczobut ma zostać wymieniony na Aleksandra Butiagina, rosyjskiego archeologa, o którego ekstradycję z Polski się staraliście?

W pełnym zakresie oczywiście nie. Trochę nas to zdziwiło. Ekstradycja byłaby mocnym sygnałem, że nie da się kraść na Krymie i innych okupowanych terytoriach, a potem korzystać ze statusu archeologa jako alibi. Ze efektem takich działań będzie odpowiedzialność karna. Rozumiem jednak, że z powodów humanitarnych ważne było też uwolnienie Poczobuta, który przez ponad 20 lat aktywnie pracował na kierunku białoruskim. Z tego punktu widzenia pewnie słusznie zrobiliście. Z prawnego punktu widzenia Butiagin powinien trafić do więzienia.

Sami też byście go wymienili, tyle że na swoich.

To trudne pytanie bez jednoznacznej odpowiedzi. Oba czynniki są ważne. Życie ludzkie, wolność – to wartości numer jeden. Z drugiej strony kara dla rosyjskich złodziei powinna być nieuchronna w imię kolektywnego, globalnego zdrowia politycznego. ©

Ali Baba, wróżka i wille z Dynastii

Kiedy trwały masakry w Buczy i Iziumie, najważniejsi politycy szukali robotników do wykończenia wnętrza. W jakiś perwersyjny sposób świadczyło to o ich wierze, że państwo przetrwa, gdy wielu nie było jeszcze tego pewnych

Michał

Potocki

korrespondencja z Kijowa

12 maja w ławach Najwyższego Sądu Antykorupcyjnego na kijowskiej Szulawce zasiadł postawny mężczyzna o ponurej minie. Ubrany w koszulę i marynarkę, ale bez krawata, za to z flagą Ukrainy w klapie, czekał na decyzję w sprawie aresztu w związku z zarzutami, które postawiono mu dzień wcześniej. Posiedzenie oglądał cały kraj. W skali świata rzadko się zdarza, by druga osoba w państwie – a taką rolę odgrywał de facto Andrij Jermak – po półroczu od dymisji trafiła na ławę oskarżonych.

Polityk ma odpowiadać za współudział w wypraniu 460 mln hrywien (38 mln zł) przy budowie ekskluzywnego osiedla. W sądzie był dojmująco samotny. Nie przyszedł go wesprzeć żaden z jego protegowanych. A przecież gdy w latach 2020–2025 kierował biurem prezydenta Wołodymyra Zełenskigo, obsadził zaufanymi ludźmi, lekko licząc, kilkadziesiąt stanowisk, także ministerialnych i wiceministerialnych. Teraz z postrachu urzędników stał się obiektem sztycherstwa. Opozycyjny poseł harcownik Ołeksij Honczarenko zrobił sobie z nim selfie w sądzie i wrzucił na platformy społecznościowe. Tylko na Facebooku zebrał 9,3 tys. reakcji, w tym 2,2 tys. śmiechów.

Swoje dołożyło Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU), ujawniając, w zasadzie bez związku z sednem zarzutów, że Jermak konsultował politykę kadrową z wróżką Weroniką, wysyłając jej daty urodzenia kandydatów na ważne posady i zamawiając ich horoskopy. – Wyciągnęli to, bo ludzie zaczęli się nudzić skomplikowanymi szczegółami sprawy korupcyjnej. Ja to interpretuję jako sygnał, że ciąg dalszy nastąpi – uważa politolog Jewhen Mahda. – Ogólny wniosek jest smutny. Zełenski delegował zadania na Jermaka, a Jermak na wróżkę – kiwa głową.

W końcu sędzia ogłosiła decyzję: areszt albo 140 mln hrywien (11,5 mln zł) kaucji. Ukraińskie prawo pozwala, by kaucję wpłacały osoby trzecie. Jermak nie uzbierał wymaganej kwoty przed weekendem, więc spędził w areszcie kilka dni. To też wszyscy interpretują jako sygnał. W końcu parę osób mu pomogło i Jermak wyszedł na wolność. Ale i to stało się oka-

zją do żartów. Aktor Hryhorij Hryszkan przelał mu 666 hrywien (55 zł), by podkreślić diabelski charakter korupcji w czasie wojny. Zdarzały się i wpłaty po 1 kopiejce (1 grosz to 12 kopiejek).

U szczytu kariery był nazywany wiceprezydentem. Śmiano się, że Zełenski był zatrudniony w jego biurze na stanowisku głowy państwa. Biuro Prezydenta Ukrainy to urząd nieznanymi w konstytucji. Rolę administracji prezydenta rozdymchano w czasach Łeonida Kuczmy, który rządził w latach 1994–2004. On i jego następcy rozpychali się łokciami, by przejąć jak najwięcej kompetencji. Administracja prezydenta służyła im jako minirząd, który pilnował, by ich zalecenia były realizowane. Zełenski szedł do wyborów z obietnicą zmiany tego stanu rzeczy. Zmienił tylko nazwę. Treść pozostała ta sama.

Pierwszym szefem biura Zełenskigo był Andrij Bohdan, prawnik jego sponsora, oligarchy Ihora Kołomojskiego. Bohdan wszędzie towarzyszył Zełenskiemu, przez co był pogardliwie nazywany Plecakiem, ale prezydent znużył się jego obcesowością, chamstwem i niepotrzebnym wyklócaniem się z mediami. Do tego pasowały mu buty głowy państwa i zapragnął pozbyć się opinii figuranta oligarchy. Wakat obsadził Jermak. Zełenski znał go od lat, współpracowali jeszcze w show biznesie. Po wygranych wyborach zlecił mu też dyskretne misje dyplomatyczne. Nominat miał przy tym najważniejszą cechę. Był człowiekiem Zełenskigo, nikogo innego. Stworzony przez Bohdana samocentralizujący się system władzy odziedziczył, naoliwił, wzmocnił i upowszechnił.

Jermak w cywilu był producentem, m.in. twórcą sensacyjnego filmu „Čiara” (Granica) o mafii przemytniczej, który powstał w kooperacji ze Słowakami. Obraz w 2017 r. zdobył w Karlowych Warach nagrodę za najlepszą reżyserię. Opowiada o rodzinie Krajńaków, zajmującej się przerzucaniem papierosów przez granicę ukraińsko-słowacką. Adam Krajńák, głowa rodzinnego gangu, ma jednak zasady, więc oponuje, gdy ukraiński gangster Krułł usiłuje go zmusić do szmuglowania narkotyków, by wykorzystać ostatnie miesiące przed przystąpieniem Słowacji do strefy Schengen.

Krajńák nie jest postacią pozytywną; to może i rodzinny, ale brutalny przestępca, który nie waha się obciąć palca >

jednemu z bohaterów. Ale na tle pozbanionej zasad Krułła to po jego stronie lokuje się sympatia widza. Jermak był raczej Krajńakiem niż Krułłem. Rozmówcy DGP opisują go jako bezwzględniego, niecofającego się przed łamaniem karier, nieczystymi zagrywkami i mobbowaniem ludzi od niego zależnych bądź stojących niżej w hierarchii. – Rozmawiałem o nim pewnie z setką osób. Nikt mi nie powiedział, że to dobry człowiek – mówi Roman Romaniak, czołowy komentator polityczny z „Ukrajńskiej Prawdy”.

Tych, na których mu zależało, traktował inaczej. Dotrzymywał słowa, był konkretny i sprawczy. Okazywał szacunek. – Nas nigdy nie oszukał, nawet w delikatnych sprawach załatwianych na gębę. Ale widać było, że otoczenie się go boi – opowiada Polak, który za rządów Prawa i Sprawiedliwości intensywnie komunikował się z Ukraincami. Za ten strach podwładnych Jermak właśnie płaci. Pozbawiony wpływów stał się ofiarą czegoś, co w półświatku określa się mianem „kidałowa”. Porzucono go. Stąd samotność w sądzie i zwłoka w zbieraniu pieniędzy, która zmusiła go do spędzenia paru nocy w areszcie.

Ciemne chmury zaczęły się nad nim zbierać w lipcu 2025 r. Doszło wówczas do starcia dwóch centrów siły. Obóz prezydenta, wsparty przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), zmierzył się z cieszącymi się patronatem Zachodu organami antykorupcyjnymi, które zbudowano po rewolucji w 2014 r. NABU od miesiąca prowadziło szeroko zakrojone śledztwo w sprawie korupcji w Enerhoatomie, państwowym operatorem elektrowni atomowych. Przyjaciele prezydenta – biznesmen Timur Mindicz i wicepremier Ołeksandr Czernyszow – mieli zmuszać kontrahentów Enerhoatomu do haraczu w wysokości 10–15 proc. od każdego kontraktu.

Gdy Czernyszow usłyszał zarzuty, władze próbowały kontratakować. SBU zatrzymała detektywów NABU rozpracowujących Mindiczgate i posądziła ich o związki z Rosją. Posłowie Sługi Narodu wnieśli poprawki do projektu nowelizacji kodeksu postępowania karnego, które podporządkowałyby NABU prokuratorowi generalnemu, lojalnemu wobec prezydenta. Parlament błyskawicznie przyjął proponowane zmiany. Mimo obowiązującego ze względu na wojnę z Rosją zakazu zgromadzeń Ukraincy masowo wyszli protestować. Interweniował Zachód. Pod wpływem „ulicy i zagranicy” władze się cofnęły. Niezależność NABU została uratowana. Śledztwo w sprawie Mindiczgate też.

W toku postępowania NABU zgromadziła 1 tys. godzin nagrań z podsłuchów umieszczonych w kijowskim mieszkaniu Mindicza. Rozmawiano szyframi; Czernyszow był „Profesorem”, Mindicz – „Karłsonem”, Jermak – „Ali Babą”. Biuro umiejętnie dawkowało napięcie, od czasu do czasu wypuszczając do mediów albo publikując we własnych serwisach fragmenty taśm. W kreowaniu zainteresowania NABU może liczyć na profesjonalistów. Niedawno ogłosiło nabór ludzi z doświadczeniem w pisaniu scenariuszy. Oficjalnie po to, by dbali o komunikację. Nieoficjalnie – by pokonywać figurantów na polu informacyjnym.

Także w lipcu specjalizująca się w dziennikarstwie śledczym redakcja Bihus.info odkryła na ziemi należącej do firmy, którą nigdy nie kontrolowali Czernyszow, a potem powiązani z nim ludzie, budowę luksusowego osiedla. Oto na 8 ha w Kozynie, popularnej wśród bogaczy wsi nad samym Dnieprem, na południe od Kijowa, zaczęto budować ogromne rezydencje w stylu przypominającym to, co z rządowej Meżyhirji półtorej dekady wcześniej uczynił Wiktor Janukowycz. Sprawę badała Marija Zemlanska. – Wtedy wydawało mi się, że czasy takiej pompy już za nami – przyznaje dziennikarka.

Gdy Czernyszow usłyszał pierwszy zarzut, postanowili sprawdzić działkę w Kozynie. Była ogrodzona wysokim parkanem, poza odcinkiem od strony Dniepru. – Dopłynęliśmy tam kajakiem i od strony wody udało się ten przepych sfilmować – wspomina Zemlanska. Na działce budowano nie jeden, ale cztery domy. Zemlanska miała podejrzenia, do kogo należą, ale brakowało potwierdzeń. Nie była też znana nazwa osiedla: Dynastija. Materiał Bihus.info wystraszył bohaterów afery. Dzisiaj wiemy, że po publikacji zaczęli czyścić pamięć telefonów. – A jednak ani oni, ani my nie wierzyliśmy, że tak szybko stracą grunt pod nogami – mówi Roman Romaniuk. – Ale w sumie o to chodziło we wszystkich ukraińskich rewolucjach – dodaje.

W listopadzie 2025 r. brudu wokół Jermaka było już tak dużo, że zachodni partnerzy zaczęli się krzywić, więc Zelenski postanowił się go pozbyć. Prezydent śledzi sondaże i stara się likwidować zagrożenia dla własnego wizerunku. Jermak się obraził i rzucił mediom, że pójdzie na front. Słowa nie dotrzymał – a w zasadzie dotrzymał tylko pośrednio. Odnowił uprawnienia adwokackie, założył organizację społeczną, zaczął nie wiadomo po co objeżdżać okolice frontu i spotykać się z żołnierzami. Ciche dni z Żelenskim minęły. Panowie znów się komunikowali. Kijów plotkował, że „wiceprezydent” trafił na deski, ale nie został znokautowany.

– Oczywiście, że zachował wpływy. One u nas nie zależą od tego, jaką funkcję się pełni, lecz od tego, na ile intensywny kontakt utrzymuje się z prezydentem i jak prezydent podchodzi do danej osoby – tłumaczył mi poseł Sługi Narodu kilka dni przed zatrzymaniem byłego szefa biura. – Żelenskiemu trudno byłoby sobie poradzić bez najważniejszego pomocnika, z którym przez pięć lat blisko współpracował – dodawał. – Poza tym po dymisji Jermaka nie przeprowadzono czystek wśród jego nominatów – zauważa Jewhen Mahda. – Czystki nie ma, bo ekipa rządząca ma krótką ławkę. Banalnie nie ma ich kim zastąpić – ripostuje Roman Romaniuk.

W styczniu 2026 r. Zelenski zaskoczył po raz wtóry. Na stanowisko szefa biura powołał nie człowieka Jermaka, lecz gen. Kyryła Budanowa, popularnego szefa Głównego Zarządu Wywiadu (HUR) przy resorcie obrony, kojarzącego się ze spektakularnymi akcjami wymierzonymi w Rosjan. Jeszcze przed wielką wojną Budanow jako funkcjonariusz HUR sam brał udział w akcjach dywersji na terenie wroga, m.in. na okupowanym Krymie.

Jest przeciwieństwem Jermaka. Jermak decydował o każdej bzdurze w urzędzie, Budanow deleguje pełnomocnictwa. W przeciwieństwie do poprzednika nie cieszy się bezwzględnym zaufaniem prezydenta. Jermak jeździł na jego wszystkie wizyty zagraniczne, Budanow nie towarzyszył mu ani razu.

Kijów plotkuje, że Budanow ma ambicje prezydenckie. Mówi się, że może zostać kandydatem władzy, jeśli Zelenski uzna, iż sam nie ma szans na zwycięstwo. Budanow to człowiek kojarzący się z „biciem ruskich”, a nie niespełnionymi obietnicami. To anty-Załużny, w kontrze do innego generała, Walerija Załużnego, byłego głównodowodzącego, który pod wpływem konfliktów z kierownictwem cywilnym został zesłany na stanowisko ambasadora do Londynu. Z Wielkiej Brytanii Załużny pisze książki (pierwszą część trylogii już wydał) i spotyka się na zamkniętych spotkaniach online z europejskimi analitykami. Nie chce dać o sobie zapomnieć. On, jeśli wystartuje, będzie kandydatem opozycji, a nie władzy.

Nokaut przyszedł w maju. NABU połączyło Mindiczgate z Dynastiją i ogłosiło, że Czernyszow, Jermak i ich znajomi mieli wypracować 460 mln hrywien (38 mln zł), inwestując je za pomocą podstawionej spółki w budowę miniosiedla. Z taśm wiemy już, że trzy z czterech willi postawiono dla Czernyszowa, Jermaka i Mindicza. Dla kogo była czwarta? Rozmówcy mówili o niej jakimś Wowie, a to zdrobnienie imienia Wołodymyr. Oficjalnie poszukiwania Wołodymyra trwają. Prezydent nie figuruje w aktach śledztwa. – Znamy tylko urywki rozmów, a potrzebne są żelbetowe dowody. Dla Ukrainy i świata to zbyt ważna sprawa – mówi Marija Zemlanska.

Mychajło Podolak, wieloletni współpracownik Jermaka, przekonuje, że prezydent jest poza podejrzeniem. – Sama budowa nie jest przestępstwem. Przestępstwem byłoby, gdyby ktoś brał pieniądze z budżetu i wykorzystywał je w swoich interesach. Prezydent nie ma z tym nic wspólnego. Jego reputacja jest na najwyższym poziomie. Fakt, że dymisjonuje ludzi, którzy latami z nim pracowali, świadczy o tym, iż nie akceptuje żadnych objawów korupcji – dowodzi. – W każdym kraju bywają ministrowie, którzy np. otrzymują azyl u Viktora Orbána. Demokratyczny kraj musi ustalić fakty, przeprowadzić śledztwo, zastosować odpowiedzialność polityczną i karną. Jermak został zdymisjonowany. Teraz czas na sąd. Jeśli jest winny, niech siedzi. Jeśli nie, zostanie uniewinniony – zapewnia.

Jeden z posłów Sługi Narodu od lat przekonuje mnie, że NABU jest na stałym łączu z ambasadą USA, przekazuje Amerykanom haki na otoczenie Żelenskiego i realizuje ich zlecenia. 20 maja służby opublikowały nawet komunikat ostrzegający, że Rosjanie zamierzają wykorzystać sprawę Jermaka do dyskredytacji Ukrainy. Doszukiwano się też związku między zarzutami dla byłego szefa biura prezydenta a równoległą publikacją wywiadu skompromitowanej ekszercniczki Żelenskiego Julii Mendel dla prorosyjskiego podcastera Tuckera Carlsona, popularnego w pewnych kręgach republikańskich. Mendel też oskarżyła rządzących o korupcję.

Wiedzę, którą zgromadziło NABU w ramach operacji o kryptonimie „Midas”, można opisać na dwa sposoby. Pierwszy to opowieść o kraju, w którym mimo trwającej wojny politycy dalej rozkradają publiczne pieniądze, w domyśle – pochodzące z zachodnich datków. Gdy rosyjscy żołnierze dokonywali masakr w Buczy i Iziumie, najważniejsze osoby w państwie szukały robotników do wykończenia wnętrz w Dynastiji. – W jakiś perwersyjny sposób świadczyło to o ich wierze, że państwo przetrwa, gdy wielu z nas nie było jeszcze tego pewnych – komentuje Marija Zemlanska.

Druga opowieść, bardziej pozytywna, pokazuje, jaką ewolucję przeszedł ten kraj, skoro instytucje są w stanie miesiącami deptać najważniejszym politykom po piętach, podsłuchiwać ich, a w końcu stawiać przed sądem, którego obrady na żywo i bez stronniczego komentarza relacjonują media publiczne. Obie te opowieści są prawdziwe, przy czym władze Ukrainy sięgają głównie po tę drugą, a jej wrogowie po pierwszą. Zapytałem Mychajła Podolaka, co by odpowiedział tym, którzy użyją afery, by dowodzić, że Europa nie powinna pomagać Ukrainie, skoro kradnie się tu pieniądze jej podatników.

– Są trzy elementy odpowiedzi. Pierwszy: wykorzystujemy te pieniądze tak efektywnie, że po czterech latach wojny Rosja wygląda żałośnie bez szans na poprawę. Gdyby tak nie było, Rosjanie dawno maszerowaliby po Ukrainie i pewnie szliby dalej – mówił. – Drugi: możecie nie tracić pieniędzy na wspieranie Ukrainy, która efektywnie walczy z Rosją, ma doświadczenie i rozumie współczesną wojnę, a zamiast tego szycować się do własnej wojny. Pytanie, czy jak przyjdzie co do czego, pojawi się woła walki. Trzeci: ciekawe, czy w innych krajach nie ma korupcji. Ludzie czasem, niestety, chcą mieć więcej, niż zasługują. Ukraina skutecznie walczy z korupcją i nie boi się o tym głośno mówić, także w kontaktach z partnerami – dodał.

O to samo zapytałem Mariję Zemlanską. – Przez pierwsze pół roku po wybuchu pełnowymiarowej wojny porzuciliśmy śledztwa antykorupcyjne. Zadziałała autocenzura. Ale gdy latem 2022 r. zrozumieliśmy, że korupcja nie znikła, a część ludzi zajmuje się tym, czym przed wojną, zrozumieliśmy, że milczenie oznacza zgodę – odparła. – Początkowo baliśmy się badać te sprawy, bo często dotyczyły pieniędzy z zagranicy. Po pierwszych publikacjach widzieliśmy efekty pracy: przetargi były unieważniane, decyzje zmieniane, a donatorzy widzieli właściwą reakcję na nieprawidłowości. A to znaczy, że instytucje antykorupcyjne działają – dodała.

Podczas posiedzenia sądu w sprawie aresztu Zemlanska zadała Jermakowi jedno pytanie: czy było warto. – Czemu mnie pani o to pyta? – odparł. ©©



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Kraj

Musimy odróżniać retorykę od działań

Fetyszyzujemy sprawę obecności konkretnej liczby żołnierzy amerykańskich w Polsce, a z punktu widzenia czysto wojskowego od pewnego poziomu to sprawa drugorzędna

Z Tomaszem

Szatkowski

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Tak zupełnie na chłodno: jak powinniśmy rozumieć całe zamieszanie wokół amerykańskich żołnierzy w Polsce? Mamy się niepokoić i bić na alarm?

Zupełnie na chłodno: wiemy nie od wczoraj, że amerykańska obecność w Europie będzie zmniejszana w dłuższym horyzoncie czasowym. Zaczynamy powoli wchodzić

w praktyczny wymiar tego procesu. I nawet tutaj ważny jest punkt odniesienia: to wciąż większa obecność niż przed rokiem 2021, gdy reakcja na kryzys na wschodniej flance, a później wojnę na Ukrainie, zmieniła te proporcje. Dziś amerykańscy wojskowi zastanawiają się nad tym, czy nie usunąć z Europy jednej pancernej brygady bojowej.

Nic dobrego.

Ale też niekoniecznie coś dramatycznego. Biorąc pod uwagę amerykańską obecność w Europie czy też – w końcu bliższa ciału koszula – na wschodniej flance NATO, trzeba zwrócić uwagę nie tylko na liczbę

żołnierzy, lecz także na konkretne narzędzia w kluczowych zdolnościach bojowych. Dla nas najważniejsze będą tu kwestie zdolności lotniczych, w tym także tych specjalistycznych, takich jak np. tankowce, siły morskie, rozpoznanie strategiczne, zdolności do dowodzenia czy wspierania operacji specjalnych. W tej logice, nieco szerszej niż tylko proste porównanie liczby żołnierzy USA, którzy stacjonują w naszym kraju, nie dzieje się może nic dobrego, ale jest to korekta, jakiej można się było kiedyś spodziewać. Fetyszyzujemy sprawę obecności konkretnej liczby żołnierzy, a z punktu widzenia czysto wojskowego od pewnego poziomu (kilku tysięcy osób) to drugorzędna sprawa. Od tych paru tysięcy dodatkowych żołnierzy, częściowo rozlokowanych w Polsce, ważniejsi są np. oficerowie, których jest kilkuset w wysuniętym dowództwie V korpusu w Poznaniu, mini-Ramstein w Powidzu czy baza antyrakietowa w Redzikowie. Te wszystkie zdolności pomagają zaś uwiarygodnić na sam koniec najbardziej unikalny amerykański parasol nuklearny.

Nie jestem pewien, czy to takie oczywiste. Prezydent, MON, nasza opinia publiczna dowiadują się o tym wszystkim z mediów, w najlepszym razie z półślódek ze strony ludzi drugiego szeregu w Pentagonie. Komunikacyjnie zostało to schrzaniłone, nie ma co kryć i udawać, że jest inaczej. Amerykanie źle to rozegrali, w sposób wygodny dla siebie wybrali najprostsze rozwiązanie, które jest logistycznie najszybsze do przeprowadzenia, przynoszące zapewne dość szybko oszczędności, ale które rykoszetem uderzyło w swojego modelowego sojusznika,

Szkolenie amerykańskich i polskich żołnierzy w Nowej Dębie. Kwiecień 2023 r.

jak to lubią powtarzać politycy i wojskowi za Oceanem. Dla nas najważniejsze na dziś to przekonać Amerykanów – zapewne na poziomie politycznym i dyplomatycznym – że jeśli mają ciąć swoją obecność w Europie, to nie powinno to dotyczyć wschodniej flanki. I to nie tylko dlatego, że jesteśmy tym modelowym sojusznikiem, lecz także dlatego, że Polska w strategii Pentagonu ma charakter zwornika tego teatru NATO i platformy do jego obrony.

Czym się skończy całe to zamieszanie z wysłaniem albo niewysłaniem brygady do Polski?

Moim zdaniem możemy sobie wyobrazić dwa scenariusze. Pierwszy jest taki, że na miejsce wspomnianej rotacyjnej brygady przybywa do nas ta wycofywana z Niemiec. Warto jednak pamiętać, że nawet jeśli się to stanie, to będzie to kilkuletni proces. Ona jest zainstalowana u naszych zachodnich sąsiadów na stałe, więc cała ta infrastruktura cywilna musi zostać przeinstalowana, a tego się nie robi w ciągu roku. Jest jeszcze drugi scenariusz – zamiast omawianej brygady otrzymamy w zamian jakieś dodatkowe specyficzne zdolności, o których mówiliśmy wcześniej. Wojskowi i u nas, i za Oceanem wiedzą, czego nam brakuje i gdzie Amerykanie potencjalnie mogą nas wesprzeć wartością dodaną.

Nie daje mi spokoju jeszcze jedna kwestia. Amerykanie kierowali się dotychczas dość jasną logiką: wydajecie na obronność tyle, ile trzeba, więc gramy z wami do jednej bramki. A teraz słyszymy od wiceprezydenta Vance'a, że w sumie, skoro tak dużo wydajemy, to dodatkowe wsparcie nie jest już tak bardzo potrzebne.

W logice wojskowej ma to ręce i nogi, bo przecież wydając olbrzymie pieniądze na sprzęt pancerny i artyleryjski, gdy jesteśmy w trakcie budowania mocnych wojsk, pancerna grupa brygadowa ze Stanów nie jest aż takim priorytetem. To chłodna militarna kalkulacja i ocena, że po prostu nie ma takiej konieczności.

Ale poza logiką wojskową jest ta polityczna, sojusznicza, czasem może nawet emocjonalna – ważna z perspektywy naszego społeczeństwa. Tak, ta wojskowa logika kłóci się tutaj z logiką polityczną. Bo co oznaczają takie sygnały? Amerykanie mieliby wycofać siły z Polski i wyekspedować do Hiszpanii, bo oni się nie zbroją tak, jak przewidują to zobowiązania w ramach NATO?

I oczywisty sygnał odczytany przez Rosję: skoro wycofują żołnierzy, to może otwiera się furтка, by z tego skorzystać, przynajmniej propagandowo.

Z pewnością trzeba by się przygotować na rozpowszechnianie rosyjskiego przekazu, że Polska jest opuszczana przez Amerykanów, że nie ma co liczyć na Zachód, że NATO nie chce bronić wschodniej flanki, bo wycofuje część żołnierzy. Ale to poziom



FOT. PATRYK OGORZALEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

propagandy – ważny, ale nie kluczowy. Rosjanie, jak to sami ujmują w dokumentach, potrafią sprawdzać korelację sił i środków. Wiedzą, że oprócz liczby żołnierzy USA w Polsce czy w Estonii trzeba szacować eskadry samolotów czy strategiczne zdolności nieprzekładające się na kolejnych żołnierzy stacjonujących w tej części Europy. Jeśli na tym boisku Amerykanie wyślą czytelny sygnał, to proszę mi wierzyć, że Moskwa będzie umiała go odczytać.

Trochę to wszystko przypomina grę cieni, w której nic, co oczywiste, nie jest do końca prawdziwe.

Wiem, że to szalenie trudne, ale przede wszystkim w odczytywaniu różnych sygnałów i decyzji musimy odróżniać retorykę od działań. Mam trochę doświadczenia współpracy z administracją Donalda Trumpa, choć głównie tą pierwszą, sprzed dekady. Widziałem to od wewnątrz. Pierwsza rozmowa Putin–Trump: mamy opowieści o dobrej atmosferze, o odwilży, ktoś rzuca znowu coś o resecie, ale od ludzi, którzy uczestniczyli w tej rozmowie, wiem, że Putin usłyszał twarde „nie”, jeśli chodzi o przedłużenie porozumienia zbrojeniowego, które regulowało liczbę głowic nuklearnych. Trump uznał, że to osłabia USA, i odmówił. Następnie przychodzi Joe Biden, który nazywa Władimira Putina mordercą, ale... podpisuje tamto porozumienie, na którym zależało Moskwie. Jego administracja wysłała wiele sygnałów, które przez Moskwę zostały odczytane jako słabość, np. zawieszenie sankcji na Nord Stream 2 (nie chcieli nawet słuchać argumentów Polski i krajów bałtyckich) czy wycofanie wojsk z Morza Czarnego, gdy Rosjanie skoncentrowali tam swoich żołnierzy. Są przesłanki, by uznać, że Rosja odczytała te sygnały jako wyrazy słabości, co mogło ją zachęcić do pełnoskalowej agresji niecały rok później.

Przyjmuję argument, że przeceniam wagę słów czy gestów, ale przecież one też są istotne, zmieniają sposób myślenia opinii publicznej.

Tak, nie bagatelizuję tego. Trump ma swój specyficzny język pewnego rodzaju dealu, biznesu, dobijania targu, tworzenia układu. Nie przesądzałbym, że to oczywisty scenariusz, w którym po jakimś otwartym geście Trumpa czy jego ludzi Rosjanie w swoim sztabie generalnym kalkulują, że otwiera się okno możliwości nacisku czy wywarcia presji na wschodnią flankę NATO. I znowu większym problemem niż słowa są fakty, jak przetrzebione po operacji w Iranie magazyny sił amerykańskich.

A kiedy premier Donald Tusk sugeruje w „Financial Times”, że nie możemy być stuprocentowo pewni reakcji USA w przypadku realnego zagrożenia...

Od razu zaznaczę, że mnie osobiście trudno jest być chłodnym recenzentem obecnego premiera i podległych mu służb.

Proszę jednak spróbować, bo nie o nazwisko Tuska tu chodzi, ale

o realne pytania, które zadają sobie ludzie. Czy w razie czego dostaniemy adekwatną pomoc? Czy nie wystawią nas do wiatru? Polskie DNA i podręczniki do historii nie pozwalają być tu optymistami.

Uważam, że nie ma dzisiaj realnych przesłanek, by tego typu tezy stawiać na poważnie. Jestem przekonany, że te wypowiedzi Donalda Tuska były motywowane jego własną agendą polityczną, a nie polską racją stanu. Co więcej, z moich niedawnych rozmów w kluczowych instytucjach waszyngtońskich wnioskuję, że te wypowiedzi mogły pomóc zdjąć z Polski ochronny parasol polityczny i umożliwić wygodny dla wojskowych wariant redukcji wojsk. Warto pamiętać, że gdyby przyszło co do czego, to reakcja amerykańska nie będzie tylko decyzją jednego człowieka, lecz w dużym stopniu efektem społecznych nastrojów czy nastawienia obu izb Kongresu. Amerykańska obecność w Europie przecież nie zniknie do końca, co ma fundamentalne znaczenie, bo odstraszanie nuklearne na poziomie strategicznym jest powiązane z obecnością konwencjonalną. Wreszcie: to nie byłaby charytatywna operacja, w której Amerykanie wysyłają do nas pomoc na zasadzie miłosierdzia, tylko na zasadzie zapewnienia sobie głębi strategicznej.

Czy my dziś wiemy, kto i jak zareagowałby w pierwszych dniach od, nie daj Boże, wybuchu czegoś poważniejszego niż hybrydowe zaczepki na poziomie dronów czy zabłąkanych rakiet?

Artykuł 5 to głównie sygnał polityczny, a w wojsku liczą się procedury kryzysowe, reagowania, skonkretyzowany zestaw środków dla dowództwa strategicznego, opracowanie modelu, w którym państwa sojuszu przekazują kontrolę nad siłami dowódcom z NATO. Te plany są, pracowaliśmy nad tym przez te lata od szczytu w Warszawie. Siły są przypisane i jest ich dużo więcej niż wcześniej, choć wciąż dużo trzeba zmienić. Równolegle nasi wojskowi rozmawiają z dowódcą strategicznym w ramach tego, co jest uruchomione, a poprzez kanały dyplomatyczne, przedstawicielstwo w NATO Polska działa, by uruchomić kolejne uprawnienia dla władz wojskowych.

Ile musielibyśmy się bronić sami?

Tydzień? Miesiąc? Kwartał?

Mocno teoretyzujemy. A kiedy miałyby wybuchnąć wojna?

W przyszłym miesiącu?

Przyjmijmy taką hipotezę na użytek tej rozmowy.

Zatem po pierwsze – to bardzo, bardzo mało prawdopodobny scenariusz, bo to operacja bardzo ryzykowna dla Rosjan. Oznaczałaby, że zamierzają wszczynać konflikt z NATO, mimo że mają mocno przetrzebione szeregi wojska, a pod bokiem wiele setek kilometrów flanki ze strony Ukrainy, która może być wykorzystana przez sojusz. Teoretycznie mogliby uderzyć z Białorusi, ale to bardzo utrudnia całe zadanie. Przyjmijmy jednak, że

ktos na Kremlu oszalał i idzie w ten scenariusz. Polska nie byłaby sama już od pierwszego dnia.

Chciałbym panu wierzyć. Niejeden czytelnik powie sobie teraz pod nosem: w 1939 r. też tak mówili.

Rozumiem i nie mówię tego ku pokrzepieniu serc: przy przesmyku suwalskim jest grupa amerykańskich żołnierzy, którzy w razie czego musieliby zostać włączeni w obronę. Oczywiście, możemy rozważyć wariant hańbiący dla Waszyngtonu, który wycofuje tę grupę natychmiast po wybuchu konfliktu, ale to skutkowało by kolapsem sojuszu USA na całym świecie. W dodatku przy analizie takiego scenariusza trzeba myśleć o innych polach walki, gdzie NATO ma wielką przewagę – mam na myśli przede wszystkim siły powietrzne. Podobnie byłoby na morzu, zwłaszcza teraz, gdy w NATO są Szwecja i Finlandia. Szwedzi dużo zrobili od czasu wejścia do Sojuszu i naprawdę realnie myślą o współpracy z Polską, tak samo Finowie. Nie ma co kryć, oni się uczą NATO, ale nawet gdyby pojawiły się jakieś wahania co do reakcji, to przewaga morską na Bałtyku od razu będzie bezwzględna. Oczywiście, na poziomie szczegółów i zakresu wsparcia moglibyśmy dyskutować, co by było gdyby, ale nie byłibyśmy sami od pierwszej minuty wojny. Największym wyzwaniem byłoby jednak rozstrzygnięcie wojny szybko, aby nie wejść w tę samą dynamikę wyniszczenia co na Ukrainie.

To tam jest realna wojna. Jak wyglądają dziś sytuacja na froncie i nadzieje na rozejm czy pokój?

Mamy pewne sygnały, które budzą nadzieje. Po pierwsze, dynamika na polu walki poprawiła się na korzyść Ukrainy po – nie ma co kryć – złym poprzednim roku. Rosjanie nie są w stanie wyrównywać tych strat. Po drugie, Ukraińcy w ostatnich dwóch miesiącach odbili więcej terytorium niż Rosjanie byli w stanie zajmować. Jakies sygnały o dążeniu do deeskalacji, jak zawieszenie broni na Dzień Zwycięstwa, są, ale chyba nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy dojdziemy do momentu, w którym Moskwa uzna, że dalsze prowadzenie tak wyniszczającej wojny przestaje się opłacać. Wiem, jak to zabrzmiało, ale Ukraina prowadzi tę wojnę w coraz bardziej opłacalny sposób – koszt zabicia żołnierza rosyjskiego spadł poniżej 1 tys. dol., Ukraińcy mają dziś spore wsparcie finansowe z Europy i coraz skuteczniej uderzają na zaplecze Rosjan. ©

FOT. S. INDRA/MSZ/WIKIPEDIA



Tomasz

Szatkowski

członek Rady Bezpieczeństwa i Obronności przy Prezydencji RP. W latach 2015–2019 podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, a w latach 2019–2024 ambasador RP przy Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego

Spór o aneks do raportu z likwidacji WSI nie jest tylko sporem o jawność.

To pytanie o to, czy potrafimy odróżnić rozliczenie patologii od użycia materiałów służb jako narzędzia bieżącej polityki

Daria

Al Shehabi

Aneks do raportu z likwidacji WSI miał według polityków z prawej strony zawierać brakującą prawdę o III RP: dawnych służbach, ukrytych wpływach, sieciach powiązań i mechanizmach, których kolejne głowy państwa nie chciały pokazać opinii publicznej. Sławomir Cenckiewicz nazywał go wręcz „Świętym Graalem” prawicy. Karol Nawrocki obiecał w kampanii, że po niego sięgnie i... sięgnął w momencie dla siebie niewygodnym. Afera ZondaCrypto zaczęła obciążać prezydenta i jego otoczenie – wróciły pytania o wcześniejsze weta do ustaw regulujących rynek kryptowalut. Rząd zaczął budować opowieść o prawicy, która przez ostatnie lata blokowała rozwiązania zwiększające nadzór nad rynkiem kryptoaktywów. Aneks dawał więc możliwość zmiany pola gry: z bieżącej odpowiedzialności na stare rozliczenia, z kryptowalut na służby, z pytań o motywacje decyzji prezydenta na pytania o III RP.

Prawo do wiedzy

Oficjalnie pałac mówi o jawności, prawie obywateli do wiedzy i zamknięciu jednej z najważniejszych spraw transformacji. Ogłaszając decyzję o publikacji aneksu, rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz przekonywał, że ma ona charakter państwowy, a nie polityczny. Kancelaria podkreśla też, że dokument został zanonimizowany i przekazany marszałkom Sejmu oraz Senatowi do zaopiniowania.

W sprawach służb tajemnica rzadko sprowadza się do samego nazwiska. Czasem ważniejsze są data, miejsce, metoda działania, kierunek operacji, opis kontaktu albo sekwencja zdarzeń. Aneksu nie będą raczej czytać głównie zwykli obywatele, lecz profesjonalści. Także ci z obcych służb. W dodatku przyłożą go do raportu Antoniego Macierewicza z 2007 r., dawnych publikacji, archiwalnych wypowiedzi polityków i wiedzy, którą od lat mają. Wtedy nawet zacierany dokument może stać się mapą.

– Tam mogą być opisane mechanizmy operacji wywiadowczych i kontrwywiadowczych, które prowadziliśmy wspólnie z sojusznikami. Autorzy mogą nie wiedzieć, że to były wspólne operacje, ale specjaliści, którzy będą czytali te dane, mogą to wychwycić – mówi DGP

Im aneks bezpieczniejszy, tym słabsza z niego broń

gen. Marek Dukaczewski, były szef Wojskowych Służb Informacyjnych.

– Przede wszystkim należy zachować bardzo dużą ostrożność w ujawnianiu tak dużych opracowań dotyczących służb. Nawet jeśli ma to pobudki w założeniu pozytywne, w ramach wartości demokratycznych trzeba rozważyć, czy bilans strat i korzyści dla państwa będzie właściwy – mówi nam gen. Andrzej Kapkowski, były szef UOP i były szef Zarządu Kontrwywiadu UOP.

Ujawnienie informacji o służbach może być uzasadnione, gdy chodzi o jednoznaczne naruszenia prawa, nadużycie kompetencji albo działania wykraczające poza ustawowe zadania. Czym innym jest jednak pokazanie konkretnej patologii, a czym innym publikacja kilkusetstronicowego dokumentu przygotowanego w atmosferze politycznego rozliczenia.

Niekończąca się historia

Historia WSI zaczyna się na początku lat 90. Po zmianie ustrojowej trzeba było zbudować nowe wojskowe służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Jak przypomina gen. Dukaczewski, chodziło o oddzielenie klasycznych zadań wywiadu i kontrwywiadu od politycznej kontroli znanej z PRL. – Struktury, które zajmowały się tym, czy ktoś chodzi do kościoła albo jak się ubiera, zostały rozformowane. Miał zostać czysty kontrwywiad i czysty wywiad – mówi były szef WSI.

Przez lata WSI funkcjonowały w konstrukcji prowizorycznej: bez własnej ustawy, na podstawie przepisów dotyczących UOP i ustawy o powszechnym obowiązku obrony. Dopiero w 2003 r. dostały odrębne umocowanie. Dwa lata później dla PiS nie była to już instytucja do naprawy, lecz symbol patologii państwa. Likwidacja WSI stała się jednym z najważniejszych haseł obozu braci Kaczyńskich w wyborach z 2005 r.

Po przejściu władzy proces ruszył szybko. – Zbyt szybko – ocenia gen. Dukaczewski. – Nie mieliśmy wątpliwości, że zostaniemy zlikwidowani.

Spodziewaliśmy się ustawy i działań represyjnych wobec żołnierzy i pracowników cywilnych. Nikt natomiast nie zdawał sobie sprawy z tego, że cała operacja likwidacji WSI będzie tak fatalnie przygotowana. To była kompletna amatorszczyzna – ocenia.

Raport Macierewicza miał być czymś więcej niż politycznym podsumowaniem likwidacji WSI. Miał przynieść oskarżenia z poziomu kampanijnego hasła do sfery państwowej odpowiedzialności: pokazać konkretne mechanizmy nadużyć, wskazać winnych i dać podstawę do działań prokuratury. Prawdziwy test jego wartości przyszedł dopiero po publikacji. – Komisja dostała narzędzia, jakich żadna instytucja w państwie nie miała. Mogła sięgać do archiwów wojskowych, cywilnych, prokuratur, wzywać świadków, przesłuchiwać oficerów. Można było oczekiwać, że raport nie będzie beletrystyką, tylko aktem oskarżenia. Tylko że na koniec prokuratura nie postawiła nikomu zarzutów – mówi Dukaczewski.

Raport opublikowano 16 lutego 2007 r. Polityczny efekt był natychmiastowy: nazwiska, oskarżenia, atmosfera wielkiego odsłonięcia kulis państwa. W dokumencie znalazły się nazwiska, funkcje, opisy spraw, tropy prowadzące do konkretnych środowisk i fragmenty mechaniki działania służb. Publikacja uderzyła więc nie tylko w osoby opisane w raporcie, lecz także w źródła, oficerów prowadzących, metody pracy i zaufanie partnerów.

W innych realiach

Dzisiejsza sytuacja jest inna. Pałac zapewnia, że aneks został przygotowany do publikacji i zanonimizowany. Nie ma powodu zakładać, że prace w BBN sprowadziły się do prostego usunięcia nazwisk. Pytanie brzmi raczej, jak głęboko ten proces sięgnął i czy da się połączyć dwa cele, które mogą być ze sobą sprzeczne: polityczną obietnicę ujawnienia „Świętego Graala” prawicy i pełne zabezpieczenie informacji istotnych operacyjnie.

Jeśli dokument zostanie oczyszczony maksymalnie bezpiecznie, to może się okazać w dużej części zbiorem czar-

nych kartek, skrótów i fragmentów pozabawionych kontekstu. Taka publikacja będzie trudna do politycznego sprzedania jako przełom. Jeśli aneks ma być czytelny i dostarczyć opinii publicznej nowych informacji, to musi pozostawić treść. A w materiałach służb wrażliwe bywają nie tylko personalia, lecz także opis mechanizmu, kierunek operacji, chronologia zdarzeń, charakter kontaktu albo relacja z partnerem.

Na tym polega pułapka: im bardziej bezpieczny aneks, tym słabszy jego efekt polityczny; im więcej treści zostanie po anonimizacji, tym większe pytanie o koszt państwowy. Dla przeciętnego czytelnika pojedyncza data, opis instytucji czy typ kontaktu mogą nie znaczyć wiele. Dla zawodowego analityka, który zna raport z 2007 r., wcześniejsze publikacje i sposób pracy służb mogą stać się brakującym elementem układanki. Właśnie dlatego decyzji o publikacji nie da się oceniać wyłącznie w kategoriach prawa do wiedzy czy politycznej obietnicy. Trzeba ją mierzyć także momentem, w którym państwo podejmuje ryzyko.

A moment jest dziś trudniejszy niż w 2007 r. Polska jest państwem frontowym NATO, graniczącym z wojną Rosji przeciwko Ukrainie, zaangażowanym we współpracę wywiadowczą i kontrwywiadowczą z sojusznikami. Jednocześnie służby coraz częściej mówią o rosyjskich i białoruskich działaniach dywersyjnych, sabotażu, operacjach wpływu i próbach rozpoznania infrastruktury krytycznej. W takim momencie bezpieczeństwo informacji nie jest urzędniczą ostrożnością. Jest częścią odporności państwa.

Nie uspokaja też argument, że chodzi o materiały sprzed wielu lat. W polityce dwie dekady to epoka. Co innego w służbach. – Wywiady i kontrwywiady nie działają w kadencjach parlamentu. To są okresy 15, 20 czy 25 lat. Informacje sprzed dwóch dekad nadal mogą być aktualne – mówi Dukaczewski.

Kapkowski zwraca uwagę, że Polska zawsze była dla partnerów interesująca ze względu na swoje położenie. Kiedyś jako państwo posiadające wiedzę o współpracy polsko-radzieckiej, dziś jako ważny element układu polsko-

-amerykańskiego i natowskiego. – Cokolwiek się ukaże, ze względu na specyficzne powiązania służb, może mieć negatywne skutki dla naszych partnerów. Oni, podobnie jak my, przywiązują dużą wagę do zachowania tajności, bo bez tego nie ma skuteczności – mówi generał.

W tym punkcie oba głosy spotykają się najmocniej. Dukaczewski mówi o konkretnym doświadczeniu po publikacji raportu. Kapkowski o zasadzie państwa korzystającej z pracy służb. Zaufanie można stracić jedną decyzją, a odbudowuje się je latami. Dotyczy to zarówno źródeł, jak i partnerów. Źródło, które decyduje się na współpracę, ryzykuje czasem własnym życiem. Służba dzieląca się informacją z sojusznikiem ryzykuje swoich ludzi, metody i operacje. Gdy pojawia się podejrzenie, że po latach materiały operacyjne mogą trafić do politycznego raportu, każda kolejna współpraca staje się trudniejsza.

Znaczenie ma również to, że aneks przez lata pozostawał w prezydenckim sejfie nie z powodu politycznej obojętności wobec sprawy WSI. Nie opublikował go Lech Kaczyński. Co więcej, sam publicznie tłumaczył, dlaczego nie zdecydował się na ten krok. W 2008 r. mówił „Newsweekowi”: „Aneks miejscami jest bardzo interesujący, ale zbyt wiele jest tam fragmentów, w których fakty zastąpiono interpretacjami. Wnioski są wyciągane także tam, gdzie nie ma do tego wystarczających podstaw”. Później po dokument nie sięgnął Bronisław Komorowski ani Andrzej Duda – mimo presji własnego obozu politycznego. Można to tłumaczyć kalkulacją, niechęcią do otwierania starego sporu albo obawą przed kosztami politycznymi. Można też przyjąć prostszą interpretację: każdy z byłych prezydentów po zapoznaniu się z dokumentem uznał, że cena publikacji może być wyższa niż jej pożytek.

– Trzeba uwzględnić opinię poprzedników prezydenta Nawrockiego. Jeśli oni zgodnie uznali, choć wywodzili się z różnych opcji, że niewskazane byłoby publikowanie tego aneksu, to moim zdaniem trzeba to uszanować – mówi gen. Kapkowski.

Spór o aneks nie jest więc prostym sporem między zwolennikami jawności a obrońcami tajemnicy. To pytanie o dojrzałość państwa: czy potrafi odróżnić ujawnienie patologii od publikacji materiału, który może odsłonić mechanizmy działania służb. I czy polityczna potrzeba symbolu nie przesłoni faktu, że w tej sprawie koszt błędu może być wyższy niż doraźny zysk. ©

AUTOPROMOCJA

Czy NATO jest dziś bezpieczne?

Wywiad | DGP

Karolina Wójcicka,
Dziennik Gazeta Prawna

Radosław Sikorski,
wicepremier, minister spraw zagranicznych

Oglądaj na
dgp.pl/wideo

Wspieranie przez nieduszenie

Protesty przedsiębiorców w sprawie SENT to nie żaden chwilowy kryzys, lecz rezultat powierzchownego potraktowania kwestii przeregulowania polskiej gospodarki

Sebastian

Stodolak

Mylili się słynna filozofka Ayn Rand, gdy w „Atlasie Zbuntowanym” snuła wizję wielkiego strajku najpotężniejszych przedsiębiorców, którzy – zniesmaczeni traktowaniem ich przez rząd jak dojne krowy – uciekają do ukrytej doliny i pozostawiają pasożytniczy etatyzm samemu sobie. Wizja epicka, ale zupełnie nierealistyczna. Nawet jako metafora. Najwięksi biznesmeni nie muszą strajkować. Mogą się z rządem dogadać albo – wspierani armią prawników – grać z nim w kotka i myszkę. W ostateczności mogą wyjechać do wcale nieukrytego raj (podatkowego).

W prawdziwym życiu to małym i średnim firmom zdarza się protestować. Nie stać ich na mecenasów, Kajmany nie dla nich, im zostaje wycieczka do stolicy i wykrzywienie swoich racji politykom w oczy. Nie robią tego często, ale jeśli jednak już się na to decydują, to nie należy ich ignorować.

Od KDT do SENT

To naprawdę nie dzieje się często, a na pewno nie w dużej skali. W latach 90. XX w. i pierwszej dekadzie wieku XXI, owszem, mieliśmy bunt kupiecki przeciw próbie zduszenia drobnego handlu podatkami, kontrolami skarbowymi i cłami czy przeciw likwidowaniu targowisk z przyczyn urbanistycznych. Były to jednak protesty rozproszone i nieliczne. Pamiętają państwo Kupieckie Domy Towarowe w centrum Warszawy? To jedno z takich nibytargowisk, którego likwidację chciało zatrzymać przy pomocy strajku ok. 1 tys. osób. W 2016 r. na ulice wyszli właściciele małych sklepów w obawie przed nowym podatkiem – od sprzedaży detalicznej. Bali się, że choć jego ostrze jest wycelowane w sklepy wielkopowierzchniowe, rykoszetem dostaną także oni. Tu liczbę uczestników można szacować na 1-2 tys. osób. W trakcie pandemii protestowali (mniej więcej w tej samej liczbie) właściciele restauracji, hoteli i siłowni. Na tym tle ostatni protest kupców przeciw rozszerzeniu systemu SENT okazuje się może największym pojedynczym protestem przedsiębiorców w historii wolnej Polski. Nie jest bowiem wykluczone, że

liczba jego uczestników zbliżyła się do 10 tys.

System Elektronicznego Nadzoru Transportu monitoruje przewóz wybranych towarów ze względu na duże prawdopodobieństwo wyłudzeń podatkowych, zwłaszcza VAT i akcyzy. Nic dziwnego, że obejmuje takie towary, jak paliwa, oleje, alkohol i produkty zawierające alkohol czy susz tytoniowy. 17 marca 2026 r. włączono doń jednak także produkty mniej oczywiste, mianowicie odzież i obuwie. W tych kategoriach – uznał rząd – szara strefa jest również zbyt duża i trzeba to zmienić. Problem w tym, że owa szara strefa jest w dużej mierze wynikiem nadmiernej biurokracji i próba zwalczania jej wprowadzaniem kolejnych obowiązków biurokratycznych przypomina gaszenie pożaru benzyną. A w przypadku zmian w zakresie obowiązywania SENT ta biurokracja ma naprawdę absurdalnie drobiazgowy wymiar.

Weźmy hipotetyczną panią Anię prowadzącą butik z odzieżą w powiatowym miasteczku. Raz na dwa tygodnie zamawia towar z Niemiec: kilka worków ubrań „vintage”, czyli odzieży używanej. Łączna masa przesyłki to 14 kg, co przekracza próg, od którego SENT obowiązuje. To już nie jest zwykłe kupno towaru, bo pani Ania musi założyć konto na Platformie Usług Elektronicznych Skarbowo-Celnych, powiązać działalność z systemem SENT, nabyć odpowiednie uprawnienia, zgłosić przewóz, uzupełniać i aktualizować dane transportu, w tym koordynować je na bieżąco z przewoźnikiem i nadawcą. Błąd w deklaracji dotyczącej masy towaru albo błędny numer zgłoszenia może się skończyć sankcją. Okazuje się więc, że zwykły drobny handel zaczyna wymagać procedur zgodności charakterystycznych dla branż wysoko regulowanych, w których działają duzi gracze. Ja na miejscu pani Ani i kilkudziesięciu tysięcy innych handlarzy też bym się zdenerwował, a na miejscu rządu poważnie bym się przejął.

Pracownikowi łatwiej

Dlaczego rząd powinien zwracać szczególną uwagę na protesty przedsiębiorców? Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć po odrobinę teorii. Chodzi o koszty rozproszone i skoncentrowane korzyści – koncept przedstawiony w 1965 r.



przez Mancura Olsons Jr. (ekonomistę, który genezę państwa opisywał jako proces transformacji bandytów wędrujących w bandytów osiadłych, i jednego z najwybitniejszych teoretyków instytucjonalnych w historii). Olson w książce „Logika działania zbiorowego. Dobra publiczne i teoria grup” tłumaczy, że duże grupy ludzi cechuje rozproszony interes wspólny oraz zróżnicowane zdolności do podejmowania działań zorganizowanych. Niemal każdy pracownik zarabiający pensję minimalną poparłby zapewne jej podniesienie. Niemal każdy właściciel firmy poparłby uproszczenie VAT. Każdy konsument zapewne poparłby zniesienie regulacji ograniczających dostępność leków i podnoszących ich ceny. Czy więc wszyscy przedstawiciele tych grup chętnie pojawiliby się przed Sejmem albo kancelarią premiera, by zbiorowo zamanifestować swoje zdanie? Nie, ponieważ choć uzysk z takich zmian jest realny, to w ujęciu jednostkowym i w porównaniu z kosztami, które trzeba ponieść, jest też drobny. Przede wszystkim jednak wspomniane grupy są tak duże, że ich członkowie mogą liczyć, że ktoś wykona robotę za nich: weźmie wolne, zrezygnuje z jednego dnia utargu, wyda pieniądze na podróz

do Warszawy i nadwyręży sobie gardło, wykrzykując postulaty i żądania. Działają tu efekt gapowicza.

Tylko jedna z tych grup umie się porządnie zorganizować: są to pracownicy. Jest tak, ponieważ związki zawodowe są zdolne do narzucania pracownikom przymusu strajkowego (co jest formą akcji protestacyjnej skierowaną bezpośrednio do decydentów). Taki przymus niekoniecznie musi się sprostować do obowiązkowego członkostwa w związkach, bo przecież w wielu krajach takie prawo nie obowiązuje. Może on mieć charakter społecznej presji, gdy bycie łamistrajkiem jest piętnowane, a pracodawcy nie chcą takich osób zatrudniać, bo reszta załogi nie będzie z nimi pracować. Inną kwestią odróżniającą pracowników od przedsiębiorców jest to, że koszt choćby jednodniowego zaniechania działalności na rzecz protestu jest relatywnie wyższy niż koszt jednodniowego zaniechania pracy. Jeśli musisz zamknąć sklep, to tracisz nie tylko utarg, lecz także klientów, którzy pójdą do konkurencji. Wniosek z tego wszystkiego jest oczywisty: przedsiębiorcy będą protestować dopiero wtedy, gdy rząd rzuci im pod nogi taką kłódę, która po prostu uniemożliwia normalne funkcjonowanie.



FOT. SZYMON PULCYN/PAP

Manifestacja przedsiębiorców przeciwko systemowi SENT. Warszawa, 13 maja 2026 r.

Popatrzmy z tej perspektywy na strajki przedsiębiorców w Polsce. W latach 90. normalne funkcjonowanie oznaczało kombinowanie. Tak po prostu było. Musieliśmy się tego kapitalizmu jakoś nauczyć – nie zawsze było to ładne i lege artis. Państwo jednak – samo jeszcze wówczas niezbyt ogarnięte i mające wiele za uszami – postanowiło uderzać przedsiębiorców pałką przepisów i kontroli, zanim jeszcze tę lekcję do końca odebrali. Uderzało jednak punktowo, zatem rezultatem były punktowe protesty. Czasy się zmieniły. Regulacje i ich egzekucja zaczęły przyjmować bardziej systemowy wymiar. Pałką przepisów i kontroli może dzisiaj uderzać boleśniej i większą liczbą osób. Tym najmniejszym przedstawicielom biznesu, których nie stać na tarczę złożoną z prawników, zaczyna po prostu brakować czasu na pracę – zjadają im go kolejne formularze, rejestry i obowiązki sprawozdawcze. I właśnie dlatego potencjalne korzyści z protestu zaczynają dzisiaj przewyższać jego koszty.

Deregulacja kosmetyczna

Tyle się mówi o deregulacji! Barometr Prawa, co roku aktualizowany przez

kancelarię Grant Thornton, wskazuje nawet, że w 2025 r. uchwalono o 12 proc. mniej prawa niż rok wcześniej i najmniej od aż 19 lat. Co więcej, oceniono, że aż 33 z 49 ustaw gospodarczych były dla biznesu korzystne. Czy przedsiębiorcy, zamiast się skarżyć, nie powinni świętować? Otóż nie. Zaczniemy od tego, że ustawy to nie wszystko. Są też rozporządzenia, których w zeszłym roku wydano ponad tysiąc. Tutaj konkretnych statystyk brak, ale doświadczenie uczy, że akurat rozporządzenia częściej utrudniają życie, niż je ułatwiają.

Grant Thornton zauważa, że „w systemie wciąż dominuje tendencja do komplikowania przepisów – na każdą uchyloną regulację przypadało w 2025 r. aż 25 nowych lub zmienionych

przepisów wymagających od firm dostosowania się”. Widać więc jasno, że jakość tych korzystnych ustaw pozostaje przyćmiona kosztami tych niekorzystnych. Per saldo wciąż przybywa szkodliwych przepisów, tyle że w wolniejszym tempie. Inicjatywa deregulacyjna SprawdzaMY ogłoszona szumnie niemal półtora roku temu przez Rafała Brzoskę na prośbę Donalda Tuska, do której dołączyło mnóstwo organizacji eksperckich, nie przełożyła się na odwrócenie tej tendencji i odchudzenie korpusu prawa. Niestety, część z niemal 200 postulatów uchwalonych bądź wprowadzonych drogą rozporządzenia w ramach inicjatywy obwarowano artykułami pozwalającymi rządowi je po prostu ignorować.

Na przykład vacatio legis dla nowych obciążeń dla przedsiębiorców ma teraz wynosić pół roku. Wspaniale? Tak, tyle że ustawodawca dopuszcza odstępstwo, jeśli przemawia za tym ważny interes publiczny. Co więcej, nie musi tego dowodzić w przekonujący sposób – wystarczy, że po prostu wypisze w uzasadnieniu projektu ustawy swoje argumenty. Ustawa o wydłużeniu vacatio legis weszła w życie w lipcu 2025 r. Według Grant Thornton w praktyce okres między dniem opublikowania prawa a jego wejściem w życie wydłużył się z 37 do... 38 dni. Imponujące. Kto wie, może już w 2026 r. osiągnie 40 dni?

Zasada „one in, one out” mówiąca, że ustawodawca za każdą nową regulację powinien usunąć jedną starą, jest jeszcze łatwiejsza do obejścia. Została zapisana jako sugestia, a nie obowiązek. Wprowadzenie oceny skutków regulacji ex post także nie ma charakteru absolutnego. Nowe prawo bowiem nakazuje wskazanie zakresu przyszłej oceny funkcjonowania aktu, mierniki i termin jej przygotowania albo – i to kluczowe – podanie informacji o braku zasadności jej przygotowania. Czyli tam, gdzie ustawodawcy zależy, żeby OSR ex post nie wykonywał, robić tego po prostu nie będzie.

Przegląd zmian, które weszły w życie do maja 2026 r. w ramach inicjatywy deregulacyjnej, prowadzi do wniosku, że to w przeważającej części usprawnienia proceduralne i drobne korekty, a najbardziej kosztowne obciążenia (składki ZUS, KSeF, ESG, kary skarbowe, długie kontrole skarbowe, ZUS-owskie kontrole płatników) pozostały w istotnej mierze nietknięte lub ich zniesienie zostało zawetowane. Mówiąc krótko, mimo pełnej ambitnych deklaracji retoryki polityków prawo staje się bardziej represyjne.

Paliwo dla populizmu

Protesty przedsiębiorców są papierkiem lakmusowym działania państwa. W Polsce trzy główne wymienione przeze mnie typy protestów przedsiębiorców sygnalizowały poważne problemy systemowe. Protesty średnich, małych i mikroprzedsiębiorców z lat 1990–2010 były sygnałem, że aparat państwowy strukturalnie traktuje z podejrzliwością i pogardą jedną z najważniejszych grup społecznych. Jeśli zaś walczymy z własnymi małymi firmami, to się nie dziwmy, że polskich gigantów też wciąż nie ma tylu, ilu byśmy

sobie życzyli, a ich miejsce chętnie zajmują zagraniczni. Najlepszym sposobem na promowanie „local contentu”, czyli lokalnej wytwórczości gospodarczej (nowe popularne słowo w naszym rządzie), jest nieduszenie go w zarodku. Protesty pandemiczne z kolei sygnalizowały wiele istotnych kwestii jednocześnie: arbitralność państwa, brak wcześniej przemyślanych procedur kryzysowych oraz brak poszanowania dla prawa. Kary za prowadzenie działalności gospodarczej (bo w warunkach lockdownu to właśnie otwieranie firmy było formą protestu) są teraz uchylane przez sądy powszechne, które wskazują na brak podstaw prawnych i naruszanie procedur. Natomiast protesty przedsiębiorców w sprawie SENT to nie żaden chwilowy kryzys, lecz rezultat powierzchownego potraktowania kwestii regulowania polskiej gospodarki.

Nasze państwo, jak się zdaje, protestacyjnego sygnału ze strony firm nigdy nie odbierało w wystarczającym zakresie i wciąż go nie odbiera, a dalsze zaniedbania mogą prowadzić do bardzo poważnych szkód. Po pierwsze, problemy sygnalizowane tymi protestami nie są ostatnie. Zależy od nich tempo rozwoju naszego kraju i jego odporność na szoki. Elastyczna, żywotna i wolna gospodarka, sprawne proceduralnie państwo tworzące dobre prawo i szanujące je to podstawa rozwoju i warunek konieczny odporności. Po drugie, protesty przedsiębiorców mogą eskalować i przerodzić się w ruchy polityczne o nie zawsze pozytywnym charakterze. Owszem, z jednej strony może być jak w przypadku Corn Laws w XIX w. Anglii, gdzie koalicja przedsiębiorców, klasy średniej i zwykłych ludzi wymusiła na rządzących zniesienie praw chroniących interesy właścicieli ziemskich, a przez to silnie windujących ceny żywności. Zniesienie ich w dosłownym sensie ocaliło życie wielu ludzi. Z drugiej strony efektem buntu przedsiębiorców – o ile nie zostanie odpowiednio zrozumiany i potraktowany przez państwo – może być powstanie takiego ruchu jak we Francji w 1953 r. Pierre Poujade, właściciel niedużego sklepu, zainicjował wtedy bunt przeciw kontrolom podatkowym. Skończyło się na zrzeszającym 200 tys. gniewnych członków ruchu populistycznym o skrajnie antyelitarnym i nacjonalistycznym charakterze. To na fali tego ruchu do polityki wszedł Jean-Marie Le Pen, założyciel Frontu Narodowego. Poujadyzm nie stworzył FN wprost, ale dostarczył mu ważnego wzorca, wskazując, że gniew drobnej klasy średniej, kupców, rzemieślników i prowincji można przetłumaczyć z języka podatkowej frustracji na język wielkiej polityki antysystemowej. W Polsce możemy dostrzec podobne zjawisko. Wśród sympatyków szeroko rozumianej antysystemowej prawicy – w tym Grzegorza Brauna – nadreprezentowani są samozatrudnieni i przedsiębiorcy. A Polska nie potrzebuje antysystemu. Potrzebuje dobrego systemu. ©©

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Świat

Goodbye, mister Starmer?

Zmiana lidera Partii Pracy i jednocześnie szefa rządu Jego Królewskiej Mości nie wystarczy do naprawy Wielkiej Brytanii. Może jednak dać partii chwilę politycznego oddechu

Witold

Sokała

„Superczwartek” – bo tak określano wybory z 7 maja w Wielkiej Brytanii – przyniósł polityczne trzęsienie ziemi. Wyborcy dali wyraz swemu niezadowoleniu z Partii Pracy, odbierając jej ponad 60 proc. stanu posiadania w lokalnych radach. Labouryści utracili nawet niektóre ze swych tradycyjnych przyczółków w lewicowych dzielnicach Londynu, w dawnych regionach przemysłowych centralnej i północnej Anglii oraz w Walii. Niektóre przypadki były szokujące, np. w Wigan w pobliżu Manchesteru, od ponad półwiecza bastionie Labour Party, wszystkie jej mandaty (w liczbie 20) przepadły na rzecz partii Reform UK do tej pory odgrywającej tam rolę absolutnie marginalną. Niewielka pociecha, że w skali kraju równie ciężkie lanie spotkało także opozycyjnych konserwatystów, którzy najwyraźniej nadal płacą rachunek za swoje niestabilne i niezbyt udolne rządy przed 2024 r.

Bezprecedensowy sukces odniosła natomiast właśnie partia Reform UK kierowana przez jednego z najważniejszych promotorów brexitu Nigela Farage’a, mocno związanego z Donaldem Trumpem. W 136 radach ugrupowanie to obsadziło ostatecznie aż 1454 miejsca, przy 1068 dla laburzystów, 801 dla torysów i 587 dla Zielonych (ci odnotowali wzrost stanu posiadania o 411). A jeszcze w 2017 r. tradycyjnie dominujące ugrupowania – Partia Pracy i Partia Konserwatywna – potrafiły podzielić rady niemal wyłącznie między siebie, zdobywając łącznie 82 proc. głosów.

Tym razem jednocześnie z organami lokalnymi wybierano także parlamenty Szkocji i Walii. W tym pierw-

szym największą partią jest (bez zaskoczenia) centrolewicowa i pronijna Szkocka Partia Narodowa (SNP) z 57 mandatami, ale Reform UK wskoczyła na drugie miejsce (ex aequo z Labour), obsadzając aż 17 foteli. 15 mandatów przypadło Zielonym, 12 torysom, a 10 liberalnym demokratom. W Walii narodowemu i proniepodległościowemu ugrupowaniu Plaid Cymru udało się zdobyć aż 43 mandaty, przy katastrofalnym wyniku tutejszej Partii Pracy (zaledwie 9). Główną siłą opozycyjną stała się więc Reform UK z 34 posłami.

Te wyniki, pokazujące rozpad tradycyjnego brytyjskiego systemu dwupartyjnego, a przynajmniej jego znaczącą modyfikację (zastąpienie konserwatystów przez Reform UK na biegunie prawicowym i potencjalne wyprzedzenie laburzystów przez Zielonych w roli głównego ugrupowania lewicy), nie były dla specjalistów zaskoczeniem. Podobnie jak reakcja na nieklasy politycznej: pojawiające się już wcześniej wewnątrz Partii Pracy głosy o konieczności zmiany lidera gwałtownie przybrały na sile. Głowy podnieśli także zwolennicy przyspieszenia szkockiego i walijskiego marszu do samodzielności.

Tak zwani zwykli Brytyjczycy na razie zachowują wobec tych nerwowych manewrów spory dystans – generalnie bardziej interesuje ich wzrost kosztów życia, sytuacja na rynku pracy, jakość usług publicznych, bezpieczeństwo na ulicy, a w ostateczności jeszcze zwycięstwo przez Arsenal po raz pierwszy od ponad dwóch dekad tytułu piłkarskiego mistrza Anglii. Notabene zdecydowała o tym fatalna wpadka Manchesteru City, który niespodziewanie zremisował ze słabszym Bournemouth, co akurat może mieć swoje konsekwencje polityczne, zwiększając poziom frustracji wśród wyborców kluczowego okręgu



wyborczego, w którym niebawem ma się ubiegać o mandat poselski jeden z głównych pretendentów do schedy po Starmerze.

Zadanie nie do wykonania

Międzynarodowy Fundusz Walutowy co prawda podwyższył parę dni temu swoją prognozę wzrostu PKB Wielkiej Brytanii w 2026 r. (do 1 proc. z 0,8 proc. w ubiegłym miesiącu), ale jednocześnie ostrzegł, że dalsza „niepewność wewnętrzna” może negatywnie wpłynąć na wydatki i inwestycje, a więc zburzyć ten optymizm. Minister finansów Rachel Reeves natychmiast uznała nowe prognozy za pochwałę dla działań gabinetu, natomiast opozycja skupiła się na przypominaniu, że nawet te skorygowane szacunki realnie oznaczają, iż wzrost będzie słabszy niż w roku 2025, oraz że z raportu MFW wynika m.in. prawdopodobny wzrost inflacji do ok. 4 proc., co na sytuację gospodarstw domowych wpływa bezpośrednio znacznie bardziej niż poziom PKB. Reeves ripostowała, że wedle najnowszych danych inflacja akurat spadła dość wyraźnie, że wspólne działania rządu i Banku Anglii mają służyć obniżeniu jej o połowę już w roku 2027, i to bez podnoszenia stóp procentowych. Wtedy pojawiły się zastrzeżenia, że wymagałoby to stopniowego spadku cen energii. Niepewna sytuacja na rynkach globalnych – powodowana wojną rosyjsko-ukraińską i konfliktem z Iranem – sprawia zaś, że bank centralny może się znaleźć

w sytuacji przymusowej i jednak zareagować podwyżką stóp. Zwłaszcza jeśli wzrośnie presja pracowników na podwyżki płac i tendencja do podnoszenia przez przedsiębiorstwa cen sprzedaży, a to wysoce prawdopodobne. Na razie gabinet Starmera zdecydował się awaryjnie znieść część sankcji na rosyjską ropę, przedłużyć obniżkę akcyzy na paliwa oraz zaostrzyć przepisy dotyczące zawyżania cen.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni było widać, że rynek ewidentnie spodziewał się pokusy osłabienia dyscypliny fiskalnej. MFW zasugerował więc gabinetowi utrzymanie planów racjonalizowania wydatków socjalnych oraz redukcji deficytu dla uzyskania zrównoważonego budżetu w zakresie wydatków nieinwestycyjnych do 2030 r. Z ekonomicznego punktu widzenia to oczywiście sensowne, natomiast w obecnych realiach wygląda jak recepta na polityczne samobójstwo. Starmer i Reeves zapowiedzieli więc, że chcą podjąć dalsze kroki mające na celu obniżenie kosztów utrzymania, w tym zrezygnować z planowanej na wrzesień (opisywanej do niedawna jako niezbędna) podwyżki podatku od paliw. Pieniądzy musieliby wtedy szukać gdzie indziej – zapewne w poszerzeniu podstawy podatku od wartości dodanej, reformie podatku od nieruchomości, a także w czymś, co Reeves nazywa „usprawnieniem regulacji finansowych”. Dwa pierwsze pomysły są nawet chwalone przez wielu ekspertów, także przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy, natomiast co do trzeciego, autorzy dokumentu MFW bardzo mocno przestrzegli brytyjską minister



Brytyjski premier Keir Starmer w Coin Street Community Centre. Londyn, 11 maja 2026 r.

finansów, że „należy zachować ostrożność i zadbać o to, aby skumulowany wpływ szeregu obecnych i proponowanych środków nie osłabił systemu finansowego”. Bardziej po ludzku znaczy to, że rząd labourzystów od dawna jest kuszony ostatecznym zamachem na City, natomiast specjaliści zdają sobie sprawę, że byłby to gest schlebający emocjom lewicowego elektoratu, który jednocześnie pozbawiłby brytyjską gospodarkę jej ostatnich globalnych atutów i najprawdopodobniej stanowiłby gwóźdź do jej trumny.

Przywódcy Labour Party stanęli więc przed zadaniem w zasadzie niewykonalnym. W tej sytuacji, niezależnie od merytorycznej oceny ostatnich działań ratunkowych duetu Starmer-Reeves, rzucenie ich obojga na pożarcie opinii publicznej wydaje się planem całkiem sensownym politycznie. Podobnie jak próba przynajmniej chwilowego odwrócenia uwagi wyborców od spraw „przyziemnych” i przeniesienia debaty na poziom wielkich dylematów strategicznych.

Europejskie miraż

Tuż po klęsce w wyborach lokalnych premier twardo zapowiadał, że zamierza pozostać na stanowisku. Musiał jednak, bodaj po raz pierwszy, przyznać się do błędów i wyrazić skruchę. Dotyczyło to m.in. serii wpadek personalnych, niewłaściwego reagowania na napięcia wewnątrz partii jeszcze jesienią ubiegłego roku, a także czegoś, co jeden z wewnętrznych krytyków Starmera nazwał „mentalnością bunkra”, czyli obyczaju

podejmowania najważniejszych decyzji w wąskim gronie doradców, bez komunikacji z zapleczem politycznym, a następnie aroganckiego reagowania na wszelkie próby dyskusji.

Politycy laburzystowskie podzielili się na dwie grupy. Jedni – powiązani ze Starmerem lub przerażeni perspektywą powtórzenia się scenariusza, który zniszczył torysów, czyli serii wymian premierów w trakcie kadencji – stanęli murem za obecnym szefem rządu i z entuzjazmem obwieścili „nowe otwarcie”. Drudzy wzruszyli ramionami, wyrazili (w większości nieoficjalnie, ale niektórzy nawet publicznie) swój brak wiary w to, że Starmer potrafi zmienić styl zarządzania, po czym zaczęli szukać nowego lidera. I to pomimo chwilowej, pozytywnej reakcji rynków na twarde oświadczenia premiera oraz przestróg MFW o możliwościach złych skutkach politycznych zawirowań.

Swoje aspiracje już zgłosił Wes Streeting, minister zdrowia i opieki społecznej w gabinecie Starmera. To względnie młody (43 lata) posiadacz ikonizowanego lewicowego życiorysu: wyoutowany gej, od 10 lat w stałym związku z innym politykiem Labour Party, z traumami trudnego dzieciństwa w biednym, londyńskim Stepney

(nieletni rodzice, dziadkowie skazywani na więzienie za rozboje). Jako pierwszy w rodzinie zdobył wykształcenie (licencjat z historii), po czym zajął się działalnością społeczną na rzecz osób wykluczonych ekonomicznie, środowisk LGBT oraz przeciwko „imperialistycznym” wojnom. W 2003 r. nawet na krótko wystąpił z Partii Pracy, protestując przeciw decyzji rządu Tony’ego Blaira o udziale w interwencji w Iraku. W Izbie Gmin zasiada od 2015 r., zaznaczając swoją obecność m.in. projektami opodatkowania dochodów kapitałowych i mocnym sprzeciwem wobec brexitu. Jako minister Streeting już wcześniej sygnalizował swoje problemy w komunikacji z szefem, ale w krytycznych momentach zachowywał się wobec niego lojalnie. Tym razem nie tylko ostentacyjnie podał się do dymisji, lecz także zapowiedział wprost, że skorzysta z każdej okazji, by zastąpić Starmera w roli lidera partii, a w konsekwencji także premiera. – Tam, gdzie potrzebujemy wizji, mamy próżnię. Tam, gdzie potrzebujemy kierunku, mamy dryf – oświadczył.

Wkrótce później, przemawiając do swoich zwolenników z wewnątrzpartijnej „grupy Progress”, określił wyjście z Unii Europejskiej jako „katastrofalny błąd”, podkreślił, że „przyszłość leży w Europie”, i wyraził przekonanie, że Wielka Brytania „pewnego dnia” powróci do UE. Podgrzał więc temat, który Starmer celowo starał się zachowywać w głębokim tle. I chyba racjonalnie, bo zdawał sobie sprawę, że większość wyborców nadal popiera w sondażach samodzielną drogę Zjednoczonego Królestwa, natomiast unijne elity (wbrew pewnym deklaracjom) wcale nie kwapią się do rozwijania czerwonych dywanów, a tym bardziej do zgody na kluczowe dla Londynu wyjątki od reguł UE na wypadek powrotu (choćby w kwestiach migracyjnych czy fitosanitarnych). W dodatku – że szanse na wyrwanie się z ekonomicznego dołka pojawiają się raczej we współpracy z innowacyjnymi i dynamicznymi USA niż z państwami Starego Kontynentu, też pograżonymi w poważnym kryzysie.

Wizje i taktyka

Zwolennicy Streetinga od razu uznali jego manewr za wizjonerski i pochwalili plan „ucieczki do przodu”, podkreślając, że namawianie społeczeństwa do reintegracji z UE jest obecnie strategicznie ważniejsze (i bardziej obiecujące politycznie) niż debaty nad szczegółowymi planami reform Starmera. Coś w tym jest, skoro główny dzisiaj rywal laburzystów, coraz bliższy odebrania im władzy nad Wielką Brytanią, czyli Reform UK, buduje swoją siłę właśnie na odwrotnej narracji i posługuje się nią w kolejnej kampanii.

Nie zabrakło też głosów krytyki. Poza partią – że Streeting zlekceważył ostrożnie eurosceptyczną większość społeczeństwa oraz obiektywny interes brytyjskiej gospodarki, bo przynajmniej na razie nie chodzi mu wcale o bycie premierem i rządzenie krajem, a jedynie o wygranie rywalizacji wewnątrzpartijnej. I owszem, z taktycznego punktu widzenia

i krótkoterminowo ma to sens, bo akurat w ramach elektoratu Labour nastroje pronijne rosną. Podobnie jak nadzieje na rozwiązanie problemów wewnętrznych poprzez reintegrację, a UE jest ponadto postrzegana jako ostoja progresywnych wartości i potencjalne zabezpieczenie przed nie lubianym (delikatnie rzecz ujmując) na brytyjskiej lewicy Trumpem. W dodatku, biorąc na sztandary program powrotu do Unii, można pewnie próbować rozbroić tykającą bombę szkockiego nacjonalizmu, podbierając nieco elektoratu SNP. Odważniejszy – na tle kunktatorskiej polityki Starmera w tej kwestii – kurs mógłby się więc Partii Pracy doraźnie i wyborczo opłacić.

Inna rzecz, że wygrywając dzięki temu następne wybory, Labour Party z premierem Streetingiem zapewne odbiłyby się rychło od ściany, zawładnąc świeżo rozbudzone nadzieje elektoratu. Niezależnie od powszechnego po obu stronach Kanału La Manche myślenia życzeniowego reintegracja ma bowiem realnie bardzo małe szanse powodzenia. Na Starym Kontynencie i w zakamarkach brukselskiego gmachu Berlaymont wciąż jest wystarczająco wiele osób i wpływowych środowisk, które nie po to sprzyjały wypchnięciu brytyjskiej konkurencji poza namiot, żeby ją teraz z powrotem wpuszczać. A nawet gdyby, to odwrócenie brexitu wcale nie sprawi, że na Wyspach nagle zapanują spokój i dobrobyt. Wręcz przeciwnie.

To dlatego wewnętrzni krytycy Streetinga wskazali, że podejmuje on ogromne ryzyko. A w dodatku – że gra o skomplikowanie życia wcale nie Farage’owi, a nawet nie Starmerowi, lecz przede wszystkim innemu z poważnych pretendentów do kierowania Partią Pracy, Andy’emu Burnhamowi. To obecny burmistrz metropolii Wielkiego Manchesteru, też kojarzony z bardziej lewicowymi frakcjami swego ugrupowania, ale jednak znacznie mniej radykalny niż Streeting. A więc dla Starmera de facto groźniejszy.

Piętrowa gra

Burnham to 56-letni partyjny weteran, wykształcony w Cambridge anglista, żonaty ojciec trojga dzieci, który zdobywał doświadczenia w związkach zawodowych, potem doradzając laburzystowskiemu ministrowi w czasach premiera Blaira, a w latach 2001–2017 zasiadał w Izbie Gmin. Pełnił też funkcje ministra zdrowia oraz ministra ds. mediów, kultury i sportu. Ubiegał się już o przywództwo partii w roku 2015, ale przegrał wtedy z Jeremym Corbynem, a dwa lata później zrezygnował z krajowej polityki i zajął się zarządzaniem wielką, niemal trzymilionową aglomeracją, obejmującą poza „właściwym” Manchesterem kilka miast satelickich. Z powodzeniem, bo bezpośrednio wybory na stanowisko burmistrza tego molocha wygrał już trzykrotnie.

Żeby wystartować po schedę po Starmerze, Burnhamowi potrzebna jest jednak pozycja członka Izby Gmin (taka jest specyfika brytyjskiego systemu). Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, bo zaledwie padły pierwsze sugestie w tej sprawie, >

z mandatu już zrezygnował Josh Simmons, poseł z manchesterskiego okręgu Makerfield. – Staję z boku, aby Andy Burnham mógł wrócić, walczyć o ponowne wejście do parlamentu i, jeśli zostanie wybrany, wprowadzić zmiany, których potrzebuje nasz kraj – oświadczył. To otworzyło drogę do przedterminowych wyborów uzupełniających w okręgu, w którym dwa lata temu Simmons dość pewnie pokonał kandydatów innych partii, w tym Reform UK. Burnham niezwłocznie wystąpił do Krajowego Komitetu Wykonawczego Labour Party o zgodę na start – i równie szybko ją otrzymał, co swoją drogą musiało zaniepokoić otoczenie premiera. Sygnalizuje bowiem, że w aparacie partyjnym zwolennicy zmiany są już bardzo mocni; jeszcze na początku tego roku ten sam komitet zablokował Burnhamowi możliwość ubiegania się o inne zwalniające się miejsce parlamentarne, też w obrębie Wielkiego Manchesteru, co partyjna lewica potępiła jako grę faul ze strony Starmera i jego sojuszników.

Premier ma powody, by obawiać się konkurencji Burnhama, polityka doświadczonego, popularnego i w dodatku mogącego się pochwalić konkretnymi sukcesami w Manchesterze. Stąd pogłoski, że skoro nie zdołał zablokować mu możliwości startu, spróbuje spowodować, by rywal przegrał te sztucznie sprowokowane wybory w okręgu, co wprawdzie pogorszy pozycję partii w parlamencie, ale za to pozbawi wewnętrzną opozycję silnego lidera i ułatwi premierowi zachowanie władzy.

Trzeba przyznać, że akcja Streetinga – wrzucającego nagle na stół problematykę unijną – może być bardzo na rękę zwolennikom szefa rządu. Otóż w Makerfield głosować będą nie tylko lewicowi i zdecydowanie pro-unijni wyborcy, lecz także ci ostrożnie umiarkowani, a nawet fanatyczni zwolennicy brexitu. Kluczem do zdobycia mandatu są w tej sytuacji ludzie centrum. Burnham nie może ich tracić, tymczasem wystąpienie Streetinga zmusza go do lawirowania pomiędzy radykalizującymi się skrzydłami. Jeśli w dodatku pojawi się silna, proeuropejska konkurencja z Liberalnych Demokratów i Zielonych, a to bardzo prawdopodobne, pewnie też będzie musiał jasno opowiedzieć się za powrotem do UE. To zaś pozbawi go sporej części głosów umiarkowanych, a w konsekwencji – odda mandat kandydatowi wspieranemu przez Farage'a.

Premier ma więc powody, by być wdzięcznym Streetingowi za radykalizowanie postaw elektoratu Partii Pracy. Być może pozwoli to Starmerowi przetrwać jeszcze trochę, w roli mniejszego zła (za to bardziej centrowego). Mimo to pytanie o jego upadek i tak nie zaczyna się od „czy”, lecz raczej od „kiedy”. Poważniejsze pytania – te dotyczące realnych błędów brytyjskiej polityki, przyjętego modelu rozwojowego, wieloletniego kunktatorstwa kolejnych rządów – czekają pewnie na swój czas znacznie dłużej. ©

Autor jest wykładowcą Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i ekspertem Fundacji Po.Int

Przejąć bez oddania strzału

Na Tajwanie narasta sceptycyzm co do tego, czy USA przyjdą mu z pomocą w razie chińskiego ataku. Nastroje te podsyca sam Pekin, licząc na to, że doprowadzi to do zjednoczenia bez użycia siły

Maria

Wiśniewska

– Czy boję się, że Chiny zaatakują Tajwan? Nie, bo one boją się USA – powiedziała mi półtora roku temu 30-letnia Yi-chun, pracująca w pralni w Tajpej. Tak jak wielu mieszkańców wyspy pokładała wtedy nadzieję w Amerykanach. Chociaż Stany Zjednoczone nie są traktatowym sojusznikiem, a nawet oficjalnym partnerem dyplomatycznym Tajwanu, to pozostają jego głównym gwarantem bezpieczeństwa, wysyłając mu broń i utrzymując w gotowości siły na wypadek ataku.

Po ubiegłotygodniowym szczycie w Pekinie moja rozmówczyni pewnie nabrała co do tego sporych wątpliwości. Donald Trump dwoił się i troił, by pokazać swój podziw dla Xi Jinpinga, a Tajwan zszedł w ich dyskusjach do roli karty przetargowej. Trump przyznał to wprost: nie chcąc przed szczytem drażnić Xi, zwlekał z zatwierdzeniem nowego pakietu uzbrojenia dla Tajwanu. W wywiadzie dla telewizji Fox News tłumaczył, że to „element negocjacji”. Zapytany przez dziennikarza, czy ostatecznie wyda zgodę na dostawę, odpowiedział: „może to zrobić, a może nie”.

Tajwańskie władze próbują skupić się na pozytywach. W komunikacie biuro prezydenta wyraziło wdzięczność amerykańskiemu przywódcy za dotychczasową pomoc (pewnie nauce doświadczeniem Wołodymyra Zelenskigo) i odnotowało, że zatwierdził on największe w historii zakupy broni dla wyspy. Ulgę Tajpej przyniosły też słowa sekretarza stanu Marca Rubiego, głównego reprezentanta jastrzębiego kursu wobec Chin w ekipie MAGA, który uspokoił, że polityka USA wobec Tajwanu pozostaje bez zmian, a jakiegokolwiek siłowe próby przejścia nad nim kontroli byłyby „wielkim błędem”.

Nic z tym nie zrobimy

W 2016 r. Trump, nie licząc się z dyplomatycznymi normami, został pierwszym od lat prezydentem elektem, który rozmawiał przez telefon z tajwańską głową państwa. Dlatego jeszcze kilkanaście miesięcy temu urzędnicy wyspiarskiego kraju postrzegali powrót miliardera do Białego Domu jako szansę. Jednak dzisiaj brak poszanowania dla zasad staje się politycznym problemem. Tajpej musi przypominać przywódcy USA, że sprzedaż broni jest prawnym obowiązkiem administracji, zapisanym w Taiwan Re-

lations Act, czyli głównym dokumencie regulującym relacje między partnerami.

Gdy obrazki Trumpa i Xi migotały na telewizorach jadłodajni w Tajpej, przez miasto przetaczała się akurat plaga szczurów, które – według niektórych teorii w mediach społecznościowych – mają przenosić hantawirusa. W oczach Tajwańczyków było to większe zagrożenie niż widmo inwazji ze strony ChRL, do którego przez lata nieustannych manewrów wojskowych i groźb Pekinu zdążyli już przywyknąć.

– My i tak nic z tym nie możemy zrobić – napisał mi Justin Wang, 35-letni mieszkaniec stolicy, gdy zapytałam go o wrażenia ze szczytu. Jego zrezygnowanie nie wynika tylko z utraty zainteresowania wielką polityką, lecz jest też wyrazem rosnącego poczucia osamotnienia i lęku przed porzuceniem przez sojusznika. W sondażu opublikowanym na kilka tygodni przed chińską wizytą Trumpa przez tajpejską Fundację Demokracji prawie 56 proc. respondentów odpowiedziało, że siły USA nie zapewniłyby wyspie skutecznej pomocy wojskowej w obliczu kryzysu. Przeciwnego zdania było 31,5 proc. badanych. To drastycznie pokazuje spadek zaufania, bo jeszcze w 2021 r. w amerykańską obronę wierzyło prawie 65 proc. obywateli. Choć po rosyjskiej napaści na Ukrainę w 2022 r. nastąpiło chwilowe tąpnięcie nastrojów, to wskaźniki później się odbiły i powróciły do najniższych poziomów od lat.

W literaturze fachowej badacze nazywają to zjawisko „amerykanosceptycyzmem”. Jego obecne nasilenie jest zrozumiałe w świetle nieprzewidywalnej polityki Waszyngtonu, ale wiadomo też, że Pekin od lat podsyca na wyspie nieufność wobec USA. „Celem Chin jest przekonanie obywateli Tajwanu, że zjednoczenie z kontynentem to ich najlepsza, a wręcz jedyna opcja” – pisze w analizie amerykańskiego think tanku German Marshall Fund specjalistka ds. Państwa Środka Bonnie Glaser. Pekin liczy na to, że kwestionując gotowość USA do obrony wyspy, osłabi też wolę walki samych Tajwańczyków na wypadek ewentualnej inwazji.

Deinformacja na masową skalę

Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi na Tajwanie w 2024 r. IORG, tajwański think tank specjalizujący się w walce z dezinformacją, zidentyfikował 84 narracje szerzące nieufność wobec Stanów Zjednoczonych w mediach społecznościowych

i internetowych komunikatorach. Czasami sprawiały one wrażenie chłodnych analiz, które jako receptę na problemy w kontaktach z Amerykanami proponowały ułożenie się z Pekinem. Inne przedstawiały sprzedaż broni przez USA jako oszustwo mające na celu wyciągnięcie od Tajpej miliardów dolarów, a dostarczany sprzęt opisywały jako „złom”. Kolejne, bardziej absurdalne teorie spiskowe głosiły, że tajwański rząd potajemnie pobiera krew od własnych obywateli i przekazuje ją Amerykanom do produkcji broni biologicznej przeciwko Chinom. Albo że mieszkańcy wyspy są celowo karmieni trującą wieprzowiną importowaną z USA.

Antyamerykańskie treści to tylko jeden rodzaj niezliczonych fake newsów krążących w tajwańskiej sieci, która jest częściej obiektem zagranicznej dezinformacji niż którykolwiek inny kraj na świecie. Jej źródłem są zwykle chińskie media państwowe lub boty, ale wiele kłamliwych narracji jest też tworzonych lub powielanych przez przychylnych Pekinowi – i czasami przez niego opłacanych – tajwańskich polityków oraz influencerów. Daje to manipulacjom pozory wiarygodności.

Inny przykład to deepfaki z wizerunkami lokalnych polityków, które mają umacniać w Tajwańczykach obawę, że jeśli ich władze podejmą działania nieprzyjazne wobec Chin – takie jak modernizacja armii (do niej rzeczywiście dążą) czy formalne ogłoszenie niepodległości (takich pretensji nie zgłaszają, argumentując, że kraj posiadający własne wojsko, administrację i walutę i tak jest de facto niepodległy), to czeka ich wojna. W jednym z takich materiałów, opublikowanym pierwotnie na chińskiej platformie społecznościowej Douyin, liderka tajwańskiej opozycji Cheng Li-wun oskarża prezydenta Lai Ching-te o prowokowanie chińskiej agresji. Fałszywa Cheng przekonuje tam, że dążąc do niepodległości, Lai „wpycha 23 miliony z nas” w ślepy zaułek i na „drogę ku śmierci”. Klip błyskawicznie rozprzestrzenił się na Facebooku, YouTube i popularnym na Tajwanie komunikatorze Line. Choć ostatecznie został usunięty, był to kolejny przypadek pokazujący, że platformy nie są w stanie nadążyć za masową skalą dezinformacji.

Zjednoczenie po kosztach

Próba wywarcia wpływu na opinię publiczną to kluczowa strategia Państwa

TAJWAN

Środka, które w ostatnim czasie wydaje się utwierdzać w przekonaniu, że zmiany w porządku światowym działają na jego korzyść. Jeszcze kilka lat temu amerykański wywiad ostrzegał, że Chiny osiągną gotowość do ataku na Tajwan do 2027 r. Obecnie analitycy są zdania, że Państwo Środka woli podporządkować sobie wyspę innymi sposobami. „Ci, którzy spekulują na temat chińskiego ataku, nie rozumieją strategii Pekinu. Chiny chcą zjednoczenia z Tajwanem po jak najniższych kosztach. Uważają, że z biegiem czasu proces ten stanie się łatwiejszy i tańszy” – napisały Bonnie Glaser i Amanda Hsiao w majowym artykule dla magazynu „Foreign Affairs”. W skrócie chodzi o to, by Tajwan tak głęboko wpadł w chińską sieć wpływów, by móc go przejść bez oddania strzału.

Zadanie to będzie skomplikowane, bo mieszkańcy wyspiarskiego kraju mają mocno ugruntowaną, odrębną tożsamość. Według badania tajwańskiego Narodowego Uniwersytetu Studiów Politycznych 62 proc. społeczeństwa uważa się tylko za Tajwańczyków, a kolejne 22 proc. widzi się równocześnie jako Tajwańczyków i Chińczyków. Tylko 2,5 proc. myśli o sobie jako o Chińczykach tout court.

Ta silna tożsamość jest oczywista dla każdego, kto odwiedza Tajwan. Chorągiewki w tajwańskich barwach powiewają na każdym publicznym zgromadzeniu, a tych na wyspie nie

brakuje: od większych manifestacji przeciwko politycznym układom z Chinami przez protesty pielęgniarek przeciwko niskim płacom po marsze pod hasłem ochrony zagrożonych gatunków ptaków. Przywiązanie do swobód demokratycznych to zresztą ważny element identyfikacji młodych Tajwańczyków. W rozmowach często podkreślają oni, że ich społeczeństwo diametralnie różni się od przyzwyczajonych do ścisłej kontroli mieszkańców Chin kontynentalnych.

Elementem współczesnej tożsamości Tajwańczyków jest też poszanowanie praw mniejszości. Gdy w 2019 r. ich kraj jako pierwszy w Azji uznał małżeństwa homoseksualne, dla wielu stało się to źródłem dumy narodowej. Otwartość na różnorodność przyciąga tam ludzi, którzy mają trudności z odnalezieniem się gdzie indziej. – Dopiero na Tajwanie poczułem się na tyle bezpiecznie, by móc w pełni wyrazić, kim jestem – opowiada pewien Amerykanin tajwańskiego pochodzenia w filmie dokumentalnym „Przepis na demokrację”, który można było zobaczyć niedawno w Polsce na festiwalu filmów dokumentalnych Millennium Docs Against Gravity.

Nie bez powodu trzecią kadencję z rządu na stanowisku prezydenta sprawuje na wyspie polityk Demokratycznej Partii Postępowej (DPP), ugrupowania wywodzącego się z ruchu opozycyjnego lat 80., które opowiada się za asertywnym podejściem

do Chin. Partię wyniósł w 2016 r. do władzy sprzeciw wobec próby zawarcia porozumienia handlowego z Pekinem przez ówczesnego prezydenta Ma Ying-jeou z partii Kuomintang (KMT), która dąży do integracji z Państwem Środka. Przeciwnicy umowy ostrzegali, że zwiększenie zależności gospodarczej od Chin spowoduje, że wyspa będzie podatna na naciski polityczne. Kulminacją oporu była tzw. rewolucja słoneczników, podczas której młodzi aktywiści przez 24 dni okupowali tajwański parlament. Ostatecznie prezydent uległ protestującym i zrezygnował z planów, ale jego partia i tak zapłaciła wysoką cenę.

Tylko na naszych warunkach

Widać jednak pierwsze pęknięcia. Młode pokolenie Tajwańczyków zaczęło – choć bardzo powoli – zmieniać swoje poglądy na suwerenność wyspy. Jak wynika z sondaży My-Formosa, między 2015 r. a 2025 r. odsetek dwudziestolatków, którzy uważają, że kontynentalne Chiny i Tajwan nie tworzą „jednych Chin”, spadł z 82,1 do 65,8 proc. Z kolei między 2023 r. a 2025 r. poparcie dla ogłoszenia niepodległości skurczyło się wśród młodych z 26,7 do 17,9 proc., a dla zjednoczenia – zwiększyło się z 1,4 do 6,8 proc. Ważną rolę odgrywa tu chińska dezinformacja, a także wize-

runek Państwa Środka jako kraju technologicznych innowacji i doskonałej infrastruktury.

Swoją pozycję odbudowuje też Kuomintang. W 2024 r. wraz z populistyczną Ludową Partią Tajwanu zdobył on większość w parlamencie. Obie partie wykorzystują swoją pozycję do blokowania rządowych inicjatyw modernizacji armii, argumentując, że radykalne zwiększanie wydatków na zbrojenia może tylko spowodować do ataku Chiny, a najlepszym sposobem na uniknięcie wojny jest zbliżenie z Pekinem. Jest pewną ironią, że w wielu kwestiach KMT brzmi podobnie jak Komunistyczna Partia Chin, przez którą w 1949 r. musiała się ewakuować z kontynentu na Tajwan.

Choć chińskie władze zerwały kontakty z rządem w Tajpej w 2016 r., to wciąż utrzymują je z politykami opozycji. W kwietniu, kilka tygodni przed szczytem z Trumpem, Xi gościł w Pekinie liderkę KMT Cheng Li-wun, która, kładąc nacisk na ich wspólnotę kulturową, powtarzała narrację o „jednych Chinach”. Efektem wizyty było ustalenie „10 środków dla rozwoju współpracy i wymiany między stronami Cieśniny Tajwańskiej”, wśród których znalazły się takie zachęty jak ułatwienie tajwańskiej żywności i branży filmowej dostępu do chińskiego rynku. Pekin chciał w ten sposób pokazać, że pokój, a nawet rozkwit relacji, jest możliwy, ale tylko na jego warunkach. ©

AUTOPROMOCJA



PRAWO • PODATKI • BIZNES

12 miesięcy wsparcia dla Twojej firmy

2690 zł

1490 zł

oszczędzasz

45%



dgp.pl/subskrypcja

I faktycznie płacą jak za zboże

Amerycanie, którzy od początku kadencji wysłuchiwali zapewnień Trumpa o zduszeniu inflacji, dziś znowu ze zdumieniem odkrywają, że za część podstawowych produktów muszą płacić jak za dobra luksusowe

Emilia

Świętochowska

Podczas ostatniej prezydenckiej kampanii wyborczej żaden temat nie wzbudzał takich emocji przy kuchennych stołach Amerykanów jak rekordowe ceny jajek. Donald Trump nieustannie przywoływał je jako symbol inflacji i szybujących kosztów życia, obarczając za to, jak zwykle, katastrofalną politykę ustępującego prezydenta Joeego Bidena. Zapewniał, że po powrocie do Białego Domu tak szybko rozprawi się z drożyzną, że stanie się ona tylko ponurym wspomnieniem.

Obietnica ta dobrze współgrała ze społecznymi nastrojami: choć wskaźniki makroekonomiczne pokazywały, że gospodarka USA mocno odbija się po pandemii, wyborcy narzekali, że stać ich na coraz mniej, i martwili się, że jeden nieprzewidywany wydatek zachwieje ich domowym budżetem.

Gdy kilka miesięcy po objęciu przez Trumpa urzędu ceny jajek zaczęły spadać, Białe Dom przedstawił to jako efekt swojej zdecydowanej interwencji. W rzeczywistości przyczyny odwrócenia niekorzystnego trendu tkwiły w czynnikach, na które nowa administracja nie miała większego wpływu: wyhamowaniu epidemii ptasiej grypy, która zdziesiątkowała stada niosek, oraz osłabieniu popytu po Wielkanocy. Jednak fakty nigdy nie powstrzymały Trumpa przed odtrąbieniem sukcesu.

Luksusowe pomidory

Dużo trudniej obwiniać poprzedników, gdy za wzrost cen żywności odpowiadają wojny, które samemu się wywołało. Amerykanie, którzy od początku kadencji wysłuchiwali zapewnień prezydenta o zduszeniu inflacji, dziś znowu ze zdumieniem odkrywają, że za część podstawowych produktów muszą płacić jak za dobra luksusowe. Może warzywa nie zajmują tak prominentnego miejsca w ich jadłospisie jak jajka, ale pomidory należą do wyjątków. Jak podaje Bureau of Labor Statistics (BLS), w kwietniu ich ceny były o 15 proc. wyższe niż w mar-

cu, a w ciągu roku wystrzeliły łącznie o 40 proc.

Za ich drożyzną stoi niefortunny splot czynników klimatycznych, geopolitycznych i ekonomicznych. Ponad 90 proc. pomidorów spożywanych w Stanach Zjednoczonych pochodzi z Meksyku. Przez prawie dwie dekady ich eksporterzy byli zwolnieni z ceł na mocy specjalnej umowy międzyrządowej. W lipcu 2025 r., w apogeum gorączki wojny handlowej z całym światem, Trump zerwał porozumienie oraz obłożył dostawców zza południowej granicy 17-proc. taryfami. Do tego dochodzą ekstremalne zjawiska pogodowe. Plantacje w Meksyku nawiedziły ulewne deszcze, zaś przez Florydę – stan będący największym krajowym producentem tych warzyw – przeszła fala przymrozków, która zniszczyła w niektórych gospodarstwach nawet 80 proc. upraw.

Kolejnym czynnikiem napędzającym podwyżki jest wstrząs energetyczny wywołany wojną w Iranie. Blokada cieśniny Ormuz, przez którą transportowano ponad jedną czwartą światowego eksportu ropy naftowej i jedną piątą skroplonego gazu (LNG), wywindowała ceny tych surowców do poziomów nienotowanych od kryzysu po ataku Rosji na Ukrainę w 2022 r. To zaś przełożyło się na wyższe koszty w łańcuchach dostaw: od nawozów sztucznych i ogrzewania szklarni poprzez magazynowanie i przetwórstwo aż po produkcję opakowań i transport.

Wojna z Iranem oraz cła odbijają się na cenach towarów na prawie każdej półce w supermarkecie. W porównaniu z kwietniem 2025 r. ceny kawy poszły w górę o 18 proc., wołowiny – o 15 proc., a świeżych warzyw – o 11,5 proc. Swoją udział miały w tym niedobory związane z suszą. Biorąc pod uwagę, że turbulencje na rynkach energii odbijają się na spożywcze z opóźnieniem, analitycy sugerują, że to jeszcze nie jest koniec podwyżek. Swoją frustrację coraz wyraźniej sygnalizują też amerykańscy rolnicy, dotąd jedni z najbardziej lojalnych wyborców Trumpa, którzy się skarżą, że konfrontacyjne posunięcia administracji narażają ich na dotkliwe straty finansowe.



Nadchodzą ciężkie czasy

Bogate w gaz ziemny kraje Bliskiego Wschodu dostarczają również związki chemiczne konieczne do produkcji nawozów sztucznych. Przed amerykańsko-izraelskim atakiem na Iran przez Ormuz przepływało ok. 40 proc. globalnego eksportu mocznika oraz 30 proc. amoniaku. Blokada szlaku pociągnęła więc za sobą drastyczne ograniczenie ich dostępności. W zależności od rodzaju i regionu ceny nawozów azotowych skoczyły aż o 30–50 proc. O ile europejscy rolnicy w większości zaopatrzyli się w nie jeszcze przed wybuchem wojny, o tyle farmerzy zza oceanu zwykle zamawiają je bliżej rozpoczęcia siewów. Jak wynika z badania American Farm Bureau Federation, aż 7 na 10 gospodarstw rolnych w USA nie stać w tym roku na zakup takiej ilości nawozów, jakiej potrzebują.

Pod największą presją znaleźli się farmerzy z Południa – tylko co piąty z nich zdążył uzupełnić zapasy w zeszłym roku. Wielu próbuje przystosować się do trudnych warunków, ograniczając zasiewy lub przestawiając się ze zbóż wymagających dużo nawozów i energii na mniej żarłoczne uprawy. Kurczą się więc po-

la kukurydzy i pszenicy, a rozrastają arealy soi. Dodatkowych kosztów dokładają szybujące ceny oleju napędowego, podstawowego paliwa ciężarówek czy ciągników. W szczytowym okresie za galon ropy (3,78 l) trzeba było płacić 5,65 dol., o ponad połowę więcej niż przed wybuchem wojny (obecnie to ok. 4,5 dol. za galon).

Kumulacja szoków uderzy szczególnie w uprawy pszenicy – Departament Rolnictwa prognozuje, że tegoroczne zbiory będą najniższe od 1919 r. Obok drogich nawozów i paliwa dobiły je anomalie pogodowe nękające stany Wielkich Równin: wyjątkowo ciepła zima połączona z długotrwałą suszą i rekordowo niskimi opadami śniegu, na które nałożyły się skrajne huśtawki temperatur wczesną wiosną. Kansas, Oklahoma czy Nebraska doświadczyły w marcu ostrych przejść, w których dni w temperaturami sięgającymi 25–27 stopni przeplatały się z falami chłodu, a nawet atakami przymrozków.

Coraz więcej farmerów uważa, że dla branży nadchodzą ciężkie czasy – tak wynika z przeprowadzanego co miesiąc przez Uniwersytet Purdue badania, uznawanego za najważniejszy barometr nastrojów w amerykańskim rolnictwie. W kwietniowym sondażu jedynie 15 proc. ankietowanych producentów stwierdzi-



FOT. REMSBERG INC/DESIGN PICS RM/EAST NEWS

ło, że sytuacja ich gospodarstw jest lepsza niż rok temu. Odsetek farmerów spodziewających się w najbliższych pięciu latach dobrej koniunktury sięgnął 37 proc., co oznacza spadek rok do roku o prawie jedną piątą. Widać przy tym wyraźny rozdźwięk między producentami zbóż i hodowcami bydła: w tej pierwszej grupie tylko 3 na 10 respondentów optymistycznie patrzy w przyszłość, w tej drugiej – dwie trzecie. Wśród źródeł kryzysu na pierwszym miejscu wymienia się zaporowe koszty – nie tylko nawozów i paliwa, lecz także maszyn, części zamiennych, nasion, środków ochrony roślin... Po zakłóceniach związanych z rosyjską inwazją ceny zbóż, zwłaszcza kukurydzy, utrzymują się na relatywnie niskim poziomie, co dodatkowo ciągnie w dół opłacalność produkcji.

Budżety przestają się spinać

Na to wszystko nakłada się wojna celna. Gdy w marcu 2025 r. Trump wprowadził zaporowe taryfy na import z Chin, władze w Pekinie zrewanżowały się całkowitym wstrzymaniem zakupów zboża z USA. Odwet bardzo mocno zabolął, bo Stany wysyłały

do Państwa Środka prawie połowę swoich soi o wartości 12,6 mld dol. Mówiąc inaczej, największy rywal handlowy Ameryki był jednocześnie największym klientem jej farmerów (a lukę po nich szybko wypełnili brazylijscy i argentyńscy eksporterzy).

Według analizy „The Economist” cła Trumpa podniosły ceny towarów dla zagranicznych nabywców, osłabiając konkurencyjność amerykańskich producentów, a rolnictwo ucierpiało na tym bardziej niż pozostałe gałęzie gospodarki. O ile ceny elektroniki i chemii wzrosły do połowy 2025 r. o 2–3 proc., o tyle ceny zbóż i mięsa skoczyły o ok. 10 proc. Branżę mocno zadrasnęły też inne elementy ofensywy Trumpa, np. wysokie taryfy na stal i aluminium, które podbiły ceny ciągników, kombajnów i innych maszyn rolniczych.

Chińskie retorsje ściągnęły na farmy od Montany po Teksas widmo najpoważniejszej zapaści od lat 80. XX w. Wysokie zadłużenie rolników powiązane z załamaniem eksportu i spadkiem wartości ziemi doprowadziły wtedy do masowych przejęć gospodarstw i exodusu ze wsi, a także przyspieszyły konsolidację branży. Choć obecnie nie ma aż tak niekorzystnego spiętrzenia problemów, by obawiać się kryzysu porównywalnego z tym sprzed pół wie-

ku, faktem jest, że budżety wielu gospodarstw przestają się spinać. W 2025 r. wniosek o bankructwo złożyło 315 wielkich farm, o 46 proc. więcej niż rok wcześniej. Prawdopodobnie nie oddaje to rzeczywistej skali kryzysu, bo jak zauważa ekonomistka Samantha Ayoub, wiele rodzinnych gospodarstw, które nie kwalifikują się do procedury upadłościowej, po prostu kończy działalność i wyprzedaje majątek, gdy zadłużenie i koszty operacyjne stają się nie do udźwignięcia.

Inne gospodarstwa borykają się z brakiem pracowników. Brutalna kampania deportacyjna spowodowała w niektórych miejscach tak duże niedobory, że prezydent kazał ICE ograniczyć natoty na farmach i ułatwić sprowadzanie tam imigrantów mających wize czasowe. Do listy żalów można jeszcze dopisać opiewającą na 20 mld dol. pomoc dla Argentyny. Branża miała pretensje do administracji, że nagradza kraj, który przejął jej część chińskiego rynku.

Trump, który w kampanii przyrzekał rolnikom „złoty wiek”, próbował naprawić szkody wyrządzone im przez cła, łagodząc napięcia w relacjach z Pekinem. W październiku ogłosił zawarcie porozumienia, na mocy którego Państwo Środka zgodziło się kupić 12 mln ton amerykańskiej soi do jesieni 2026 r.

i co najmniej 25 mln ton rocznie przez kolejne trzy lata. Krótco potem zaferował farmerom pakiet ratunkowy o wartości 12 mld dol. Ekonomisci zauważali jednak, że taka kwota pokryje w najlepszym razie jedną trzecią strat, jakie ponieśli na wojnie handlowej. Wprowadzone niedawno ułatwienia dla importu nawozów też nie przyniosły wyraźnej ulgi, zaś obiecwana rozbudowa krajowej produkcji to na razie odległa perspektywa. Od odcięcia chińskiego rynku eksport soi nadal balansuje 15–20 proc. poniżej normalnego poziomu.

Nie myślę o nikim

Ubiegłotygodniowy szczyt w Pekinie nie okazał się epokowym wydarzeniem, jakie zapowiadał prezydent USA, ale być może to właśnie rolnicy wyniosą z niego największy uzysk. Biały Dom zadeklarował, że Chiny zobowiązały się do zakupu amerykańskiego mięsa i zbóż za 17 mld dol. rocznie przez najbliższe trzy lata. Pojawia się pytanie, czy to wystarczy, by przed zaplanowanymi na listopad wyborami cząstkowymi do Kongresu wygasić na wsi ogniska niezadowolenia. Według kwietniowego badania na zlecenie firmy konsultingowej Amato Advisors 55 proc. rolników uważa, że polityka administracji negatywnie wpłynęła na ich działalność, a tylko co piąty ocenia ją korzystnie. Niemal wszyscy respondenci przyznali, że odczuwają skutki wojny z Iranem. Niepokojącym sygnałem dla republikanów może być szczególnie to, że 39 proc. ankietowanych nie podjęło ostatecznej decyzji, jak zagłosuje w wyborach ani czy w ogóle na nie pójdzie.

To niekoniecznie oznacza dobre wieści dla demokratów. Farmerzy należą do najlojalniejszych wyborców Partii Republikańskiej. Konserwatywny zwrot na wsi rozpoczął się w kryzysowych latach 80., gdy poczucie wyobcowania sprzęgło się tam z resentymentem wobec liberalnych elit z wielkich miast, postrzeganych jako beneficjentów globalizacji i zmian technologicznych. Trump jak żaden inny polityk rozpoznał i umiejętnie podsycił te emocje – czego dowodem jest to, że w wyborach prezydenckich w 2024 r. zagłosowało na niego 78 proc. rolniczych hrabstw. Nawet dziś mieszkańcy wsi wystawiają prezydentowi wyższe oceny niż inne grupy, nawet jeśli mają wątpliwości, czy jego decyzje im służą. Republikanie bardziej obawiają się więc tego, że rolnicy nie pojawią się jesienią przy urnach, niż tego, że poprą demokratów.

Sam Trump nie wydaje się specjalnie przejmować stanem portfeli wyborców. Zapytany, czy do wynegocjowania porozumienia z Iranem motywuje go cena, jaką płacą za wojnę, odparł: „Ani trochę”. – Nie myślę o sytuacji finansowej Amerykanów. Nie myślę o nikim. Myślę o jednej rzeczy: nie możemy pozwolić, by Iran miał broń jądrową – dodał. ©©



Więcej tekstów tej autorki
Skanuj kod!
DGP.pl

Gospodarka

Wracamy nad morze

W pierwszych trzech dziesięcioleciach po 1989 r. Morze Bałtyckie i region Wybrzeża były lekceważone. Na szczęście wreszcie się to zmienia, a w nadchodzącej dekadzie Pomorze stanie się wiodącym obszarem polskiej gospodarki

Piotr

Wójcik

Polska nigdy nie była krajem przywiązanym do morza. W naszej historii próżno szukać wielkich, zwycięskich bitew morskich czy odkryć dalekich lądów. Przez wieki jedynym naszym z nim łącznikiem był Gdańsk, który jednak służył głównie do eksportu zboża za pośrednictwem holenderskich statków, poza tym często znajdował się w obcych rękach. Obecny wysiłek zbrojeniowy również jest skupiony na rozwoju sił lądowych i powietrznych. Armia nie kupuje masowo korwet czy niszczycieli, lecz czołgi, artylerię i myśliwce. Oczywiście koszt produkcji okrętów wojennych jest nieporównywalnie wyższy od kosztu pojazdów czy nawet samolotów (kontrakt ze Szwedami na trzy okręty podwodne opiewa na 15 mld zł), ale rozdźwięk między siłami lądowymi a morskimi w polskiej armii jest ogromny. Wyraźna zmiana podejścia do Bałtyku jest jednak widoczna w obszarze gospodarki.

Niedoceniane przez wieki Pomorze zaczyna być wreszcie postrzegane jako ogromny atut ekonomiczny i przestrzeń dla nowych możliwości rozwojowych.

Północ kontra południe

Po 1989 r. regiony położone nad Morzem Bałtyckim rozwijały się wyraźnie wolniej od południa kraju i regionu stołecznego. Tylko województwo pomorskie znajduje się blisko podium pod względem poziomu rozwoju. Według Eurostatu w 2023 r. osiągnęło poziom 74 proc. średniego rozwoju w UE – liczonego jako PKB na głowę według parytetu siły nabyw-

czej (PPS). Był to piąty najwyższy wynik w kraju, po regionie stołecznym (155 proc. średniej UE), Dolnym Śląsku (83 proc.), Wielkopolsce (81 proc.) i Śląsku (80 proc.). Drugie z województw, które ma bezpośredni dostęp do Bałtyku, czyli zachodniopomorskie, osiągnęło poziom zaledwie 63 proc. średniego rozwoju w UE, co zbliża je raczej do Podlasia (60 proc.) czy świętokrzyskiego (58 proc.), a nie liderów. Tymczasem leży ono nie tylko nad morzem, lecz także na zachodzie kraju, który jest przeciętnie znacznie wyżej rozwinięty niż wschód. Jeszcze bardziej od średniej unijnej odstaje województwo warmińsko-mazurskie, w którym PKB per capita PPS wynosi ledwie 54 proc. Ten region nie ma bezpośredniego dostępu do morza, tylko do Zalewu Wiślanego, który również był przez lata niewykorzystywany. Próba podniesienia jego znaczenia było otwarcie przekopu przez Mierzeję Wiślaną, jednak prace nad pogłębieniem torów wodnych, które udostępnią port w Elblągu dla większych jednostek, wciąż się przeciągają.

W Unii Europejskiej regiony z ważnymi portami należą zwykle do najlepiej rozwiniętych. Duński region Hovedstaden z Kopenhagą osiągnął 166 proc. unijnego PKB na głowę, Hamburg 189 proc., Holandia Południowa z Rotterdamem to natomiast 127 proc. Prowincja Antwerpii osiągnęła 138 proc. średniego PKB na głowę w UE. Region Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże z portem w Marsylii osiągnął 91 proc. średniej UE, co jak na ekstremalnie paryżocentryczną Francję jest bardzo wysokim wynikiem – trzecim w kraju.

Pomimo pozostawania w tyle pod względem dotychczasowego poziomu rozwoju w ostatnich kilku latach wzrost gospodarczy polskiego Wybrzeża był już znacznie szybszy. Niestety, dotyczyło to głównie województwa pomorskiego. W latach 2020–2024 PKB

wzrósł tam o 21,5 proc., co było zdecydowanie najwyższym wynikiem w Polsce. Żadne inne województwo nie przebiło poziomu 20 proc. Nawet drugi pod tym względem region stołeczny osiągnął przyrost rzędu niespełna 18,5 proc. Za nimi znalazły się: Podkarpacie (18 proc. wzrostu) oraz Śląskie i Małopolskie (każde niespełna 17 proc.). Niestety, już województwo zachodniopomorskie w okresie postpandemicznym, zamiast się podciągać, jeszcze bardziej traci do reszty kraju. W latach 2020–2024 skumulowany wzrost PKB w tym regionie sięgnął tylko 12,5 proc., co jest drugim najgorszym wynikiem po województwie łódzkim, którego gospodarka wzrosła o równą jedną dziesiątą. Niewiele lepiej wypadło województwo warmińsko-mazurskie, gdzie produkt krajowy brutto w 2024 r. był o 13,3 proc. wyższy niż w pandemicznym 2020 r. Dla całej Polski w omawianym czasie wzrósł o 16,5 proc.

Gdańsk i długo nic

Rozwój województwa pomorskiego jest ściśle związany z portem w Gdańsku, który należy do jednych z największych w Unii Europejskiej. Pod względem frachtu morskiego krótkiego zasięgu jest nawet trzeci. Według danych Eurostatu w 2024 r. przetoczyło się przez niego 59 mln ton towarów. To znacznie mniej niż w dwóch największych portach UE, czyli Rotterdamie (161 mln ton) i Antwerpii-Brugii (122 mln), jednak wyraźnie więcej niż w pozostałych, wśród których żaden nie przekroczył 50 mln ton. Co więcej, Gdańsk zaliczył największy wzrost w porównaniu do roku 2014, gdy obsłużył ledwie 24 mln ton. Hamburg w tym czasie spadł z 53 mln do 35,5 mln ton. Te dwa porty zaliczyły pod tym względem rosadę, gdyż dekadę temu to Hamburg był

na trzecim stopniu podium, a Gdańsk w środku stawki (14. miejsce). W 2024 r. było już dokładnie odwrotnie – Hamburg spadł na miejsce 9., a Gdańsk skoczył o ponad 10 miejsc. Duży spadek zaliczyła również Marsylia, która w 2014 r. była piątym największym portem frachtu krótkiego zasięgu w UE, z tonażem rzędu 43 mln. W 2024 r. francuski port obsłużył już tylko 34,5 mln i znalazł się zaraz pod pierwszą dziesiątką.

Główny polski port w ostatniej dekadzie zaliczył więc okres niezwyklego rozwoju. Z przeciętnego terminala o krajowym znaczeniu przeobraził się w jedną z największych instalacji przeładunkowych w Europie, o znaczeniu przynajmniej regionalnym. W tej beczce miodu znajduje się jednak kilka tyłek dziegciu. Po pierwsze, Gdańsk jest jedynym liczącym się w Europie polskim portem. Francja w pierwszej dwudziestce ma dwa, gdyż poza Marsylią znajduje się tam jeszcze położony nad Atlantykiem zespół portowy HAROPA (okolice Hawru), a Hiszpania nawet trzy (Algeciras, Valencia i Barcelona). Holandia dwa porty ma w pierwszej dziesiątce – po Rotterdamie wysoko jest jeszcze Amsterdam. Polska nie ma żadnego poza Gdańskiem w pierwszej czterdziestce.

Oczywiście trudno porównywać państwa mające jednoczesny dostęp do Atlantyku i Morza Śródziemnego czy choćby tylko Morza Północnego – jak Holandia – do kraju położonego nad Bałtykiem, który jest mniej znaczącym akwenem śródlądowym. Mimo wszystko Polska ma całkiem długie wybrzeże, więc znaczenie portów w Gdyni i Szczecinie mogłoby być większe. W rezultacie Rzeczpospolita jako kraj znajduje się dopiero na ósmym miejscu w UE pod względem tonażu frachtu krótkiego zasię-



BAŁTYK

gu obsługowanego przez krajowe porty, z wynikiem 94,5 mln ton w 2024 r. Dla porównania, porty włoskie przyjęły i wypuściły 304 mln ton towarów, a holenderskie 239 mln. Przed nami znalazły się też Niemcy (152 mln) i Szwecja (143 mln), ale udało się nam wyprzedzić Duńczyków (71 mln) i Finów (79 mln), którzy jeszcze dekadę wcześniej byli zdecydowanie wyżej. W 2014 r. przez porty fińskie przetransportowano się o 35 mln ton towarów więcej niż przez polskie. Pod tym względem Polska także zaliczyła największy skok w całej UE. Zrobiła to m.in. kosztem Rygi, która niemal zupełnie straciła znaczenie. W 2014 r. Łotwa obsługiwała 58 mln ton towarów frachtu krótkiego zasięgu, a Polska 54 mln. W roku 2024 tonaż w Łotwie wyniósł ledwie 24,5 mln, czyli nawet mniej niż w Litwie (33 mln).

Drugą słabością polskich portów jest zdecydowana dominacja frachtu krótkiego zasięgu w łącznej obsłudze towarów. W 2024 r. odpowiadał on za niemal 80 proc. W Niemczech – za 55 proc., a we Francji, w Belgii, Hiszpanii i Holandii za ok. 50 proc. lub nieco mniej. Łącznie z transportem dalekiego zasięgu Gdańsk nie należy już do ścisłej czołówki unijnych portów. Z wynikiem 71 mln ton zajął siódme miejsce, za Rotterdamem (aż niespełna 400 mln ton), Antwerpią (niespełna 250 mln), Hamburgiem, Algeciras, Amsterdamem i HAROPĄ (wszystkie poniżej 100 mln ton). Siódme miejsce to wciąż wysoka pozycja, pozwalająca wyprzedzić chociażby Marsylię, Walencję, Barcelonę czy Genuę. Poza tym w zestawieniu łącznym Gdańsk zaliczył jeszcze większy awans, gdyż w 2014 r. zajmował dopiero 23. miejsce w UE, z wynikiem ledwie 29 mln ton. Wyprzedzały go nawet litewska Kłajpeda czy leżąca nad

Morzem Czarnym rumuńska Konstanca. Znow jednak trzeba przypomnieć, że mowa o jedynym istotnym porcie w Polsce.

Polskie morze

Kolejna łyżka dziegciu to ogromne znaczenie płynnych towarów masowych przewożonych za pośrednictwem polskich portów. Jeśli chodzi o fracht krótkiego zasięgu, to w Gdańsku odpowiadały one za ponad połowę przewiezionych dóbr – 34 mln ton. Innymi słowy, zdecydowanie najważniejszym terminalem w Gdańsku jest Naftoport. W kategorii towarów masowych suchych – m.in. produktów rolnych – polski port znajduje się dopiero na szóstym miejscu w UE (niespełna 10 mln ton), a pod względem przewozów kontenerowych w ogóle wypadł z pierwszej dziesiątki. Tak więc Gdańsk obsługuje głównie surowce, a gotowe produkty i komponenty wpływają lub wypływają z pominięciem Polski. W naszych portach dominują towary odbierane (70 proc. całego przepływu), gdyż Polska jest importerem surowców energetycznych. Nasz eksport korzysta przede wszystkim z transportu drogowego, gdyż dominują w nim położone stosunkowo blisko państwa UE: Niemcy, Czechy czy Francja. Gdyby polscy eksporterzy zaczęli wreszcie zdobywać rynki azjatyckie, amerykańskie i afrykańskie, to znaczenie przewozów kontenerowych w Gdańsku mogłoby wzrosnąć. Pomoc w tym może zawarta w tym roku umowa z państwami grupy Mercosur.

Wszystkie ambitne plany spalają na panewce, jeśli nie będzie niezbędnej infrastruktury. W tej sprawie powinien pomóc rządowy program „Polskie morze”. Jednym z elementów planu

wzmocnienia gospodarki morskiej jest budowa nowego typu promów do przewozu towarowych i pasażerskich dla polskich armatorów, by przestali pływać pod zagranicznymi banderami. Pierwszy tego typu prom MF Jantar armatora Unity Line wszedł do użytku w styczniu 2026 r. i pływa na trasie Świnoujście – Trelleborg. W drugiej połowie tego roku w pierwszy rejs powinien wypłynąć drugi okręt tej serii – Bursztyn. W planach jest też trzeci. Określenie „prom” może być mylące, gdyż to duże, kilkukipitrowe jednostki, które są przystosowane do przewozu pojazdów ciężarowych. Ich linia ładunkowa może pomieścić ok. 200 nacze, a piętra przeznaczone dla pasażerów pomieszczą 400 osób. Rząd wsparł program budowy tych promów ponad 1 mld zł, a za budowę odpowiadała Gdańska Stocznia „Remontowa”. Problem w tym, że Jantar także pływa pod zagraniczną banderą, chociaż należy do polskiego armatora i stworzono go nad Wisłą. Został jednak zarejestrowany na Cyprze w Limassol, które jest oficjalnie jego portem macierzystym. Dlaczego? Ponieważ Cypr należy do państw oferujących tanie bandery, czyli uproszczone przepisy połączone z niskimi podatkami. Jantar to pierwszy polski prom zwodowany od 1995 r., co cieszy samo w sobie, ale jednostki, których budowa została wsparta środkami publicznymi, powinny być z urzędu rejestrowane w Polsce, by to do budżetu polskiego państwa trafiały podatki.

W ramach Polskiego Morza rozbudowywane są również porty. Przygotowywany jest projekt budowy terminala kontenerowego w Świnoujściu. Wcze-

śniej muszą jednak zostać pogłębione tory wodne, które umożliwią wpływienie do portu większymi jednostkami. W związku z tym prowadzone są prace przy torze wschodnim, by umożliwić wpływienie statkom o zanurzeniu 15 m. Zakończenie prac planowane jest na 2029 r. Pogłębiony został już północny, którego dalszą modernizację utrudnia przebieg przez dno gazociągu Nord Stream.

Prace trwają także w Trójmieście. Na przełomie 2027 i 2028 r. powinien zostać oddany pływający terminal gazowy FSRU w Gdańsku. Jego przepustowość sięgnie 6 mld m sześć. rocznie. Dla porównania, gazoport w Świnoujściu ma potencjał przepompowywania ponad 8 mld m sześć., więc jednostka, która zacumuje w województwie pomorskim, będzie miała niewiele mniejsze możliwości.

W tym roku powinna ruszyć budowa falochronów dla Portu Zewnętrzny w Gdyni. Będzie to terminal towarowy, którego prognozowany termin oddania do użytku to obecnie 2031 r., jednak był on już przesuwany, więc do daty lepiej się nie przywiązywać. Bardzo duże znaczenie ma również budowa Gdańskiego Agro Terminala, który docelowo ma umożliwić przeładunek 3 mln ton surowców rolnych rocznie. W tym roku na Nabrzeżu Szczecińskim powinien rozpocząć funkcjonowanie magazyn płaski o pojemności 30 tys. ton. W 2028 r. prawdopodobnie zostanie ukończona budowa stalowych silosów na Nabrzeżu Wiślanym, których łączna pojemność sięgnie 100 tys. ton. Finalnie potencjał przeładunku surowców rolnych w porcie wzrośnie ponad czterokrotnie – obecnie wynosi tylko 0,7 mln ton.

Port Gdański, nabrzeża Rudowe i Węglowe

Morze energii

Bałtyk powoli staje się także rezerwarem źródeł energii. Chociaż nie ma obfitych zasobów paliw kopalnych, jak Morze Północne, to przynajmniej na wiatr narzekać nie można. W XXI w. tyle wystarczy, żeby produkować prąd dla tysięcy gospodarstw domowych. Kosztem ponad 60 mld zł Polska Grupa Energetyczna buduje farmę wiatrową Baltica. Jej centrum będzie stanowić Baltica 2 o mocy aż 1,5 GW. Dla porównania, jeden reaktor budowanej w Choczewie elektrowni jądrowej osiągnie ok. 1,2 GW. Planowany termin oddania instalacji Baltica 2 to koniec 2027 r. Etapy Baltica 1 i 3 są w fazie planowania, ale ich moc prawdopodobnie będzie sięgać ok. 1 GW każda. PGE nie jest osamotnione, gdyż realizuje tę inwestycję wspólnie z duńskim Ørsted. Także w 2027 r. powinny wystartować instalacje Bałtyk 2 i Bałtyk 3, które buduje Polenergia z norweskim Equinorem. Centrum serwisowe i remontowe instalacji ulokowane zostanie w Łebie. Budowana instalacja zapewni łącznie niespełna 1,5 GW mocy, ale pełną osiągnie dopiero w 2028 r. W zeszłym roku decyzję środowiskową otrzymała również farma Bałtyk 1. Najbliższy termin oddania to data wejścia do użytku farmy Baltic Power grupy Orlen, której moc sięgnie również 1,2 GW. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to instalacja zostanie oddana jesz-



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

cze w tym roku. Znajduje się także stonkowo niedaleko Łeby (23 km od wybrzeża). Dzięki tym projektom także jej nabrzeże wraz z portem powinny zyskać na znaczeniu, gdyż część z tych inwestycji – m.in. właśnie Baltic Power – przewiduje w tym niewielkim mieście turystycznym budowę placówek operacyjno-remontowych dla polskiego offshore wind.

Obecnie moce wiatrowe w Polsce opierają się niemal wyłącznie na farmach lądowych, które mimo braku nowelizacji ustawy wiatrakowej w 2024 r. – według danych Forum Energii – odpowiadały za 14,5 proc. miksu produkcji prądu. Offshore wind w ogóle nie jest wymieniony. Trwają jednak inwestycje w łącznie pięć dużych instalacji na morzu, które zwiększą polskie moce o ok. 6 GW. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Bałtycka MEW-a. Zmiany modeli własności w morskiej energetyce wiatrowej”, europejscy liderzy – Niemcy i Wielka Brytania – osiągnęli pod tym względem dwucyfrowe wyniki (10–15 GW), jednak polska moc potencjalna (w budowie i planowana) na Morzu Bałtyckim jest pierwsza w UE, dwukrotnie wyprzedzając drugie Niemcy (3 GW w eksploatacji i budowie). „W latach 2025–2030 moc zainstalowana na Morzu Bałtyckim może wzrosnąć czterokrotnie i osiągnąć poziom 14,2 GW” – czytamy w raporcie PIE. Dotyczy to projektów wszystkich państw mających dostęp do Bałtyku. Obecnie jedyne działające bałtyckie farmy wiatrowe mają Niemcy, Dania, Szwecja i Finlandia.

Oczywiście zdecydowanie największą inwestycją na Pomorzu jest Elektrownia Jądrowa w gminie Choczewo. Niestety, wciąż nie podpisano finalnej umowy, gdyż negocjacje strony rządowej z konsorcjum Westinghouse-Bechtel się przeciągają z powodów merytorycznych – spór dotyczy m.in. jurysdykcji, której będzie podlegać projekt i sama instalacja. Polska strona oczywiście naciska na sądy nadwiślańskie, a USA na amerykańskie. Z tego powodu przedłużono do końca roku działanie umowy pomocowej. Są też dobre informacje. W maju Państwowa Agencja Atomistyki (PAA) potwierdziła bezpieczeństwo lokalizacji w miejscowości Lubiatowo-Kopalino. Trzy planowane reaktory zapewnią łącznie ok. 3,6 GW, ale to melodia dopiero przyszłej dekady. Nie zmienia to faktu, że już sama budowa tak dużego i kosztownego projektu wesprze lokalną gospodarkę i zwiększy znaczenie rejonu nadbałtyckiego.

Po 2030 r. szeroko rozumiane Pomorze może więc się stać absolutnie kluczowym regionem kraju i nowym motorem polskiej gospodarki. Trwają przecież także prace nad Rail Baltica (linia kolejowa łącząca Polskę z państwami bałtyckimi) i projekty związane z obronnością (Tarcza Bałtycka). Będzie to spora odmiana w stosunku do pierwszych trzech dekad polskiego rozwoju, gdy kraj ciągnęły w górę Mazowsze, Śląskie i Dolny Śląsk. Przy okazji dokona się symboliczna rehabilitacja Morza Bałtyckiego, które przez lata było przez Polskę lekceważone. Zdecydowanie niesłusznie, gdyż ten całkiem szeroki dostęp do morza to jeden z największych atutów kraju położonego nad Wisłą. ©

Kara za macierzyństwo

Macierzyństwo stało się głównym źródłem nierówności płacowych między kobietami i mężczyznami. Nie zlikwidowały ich ani dłuższe urlopy, ani wykształcenie kobiet, ani jawność wynagrodzeń. Dlaczego?

Karolina

Nowakowska

Kiedy w 2007 r. Shelley Correll, Stephen Benard i In Paik opublikowali w „American Journal of Sociology” wyniki swojego eksperymentu, ekonomiści pracy mieli już dość dobry obraz problemu. Wiedzieli, że matki zarabiają mniej niż kobiety bezdzietne. Wiedzieli, że mężczyźni po urodzinach dziecka zarabiają więcej. Nie wiedzieli natomiast, dlaczego tak się dzieje – i czy pracodawcy w ogóle mają z tym coś wspólnego.

Odpowiedź okazała się niewygodna. Badacze z Uniwersytetu Stanforda przygotowali fikcyjne aplikacje różniące się tylko jednym szczegółem: część kandydatek opisano jako matki. W eksperymencie te ostatnie były oceniane jako mniej kompetentne i zaangażowane. W badaniu audytowym, przeprowadzonym na prawdziwych ofertach pracy, firmy rzadziej oddzwaniały do matek, a jeśli już, to proponowały im niższe stawki. Ojcowie tego nie doświadczali – wręcz przeciwnie, oceniano ich nieco wyżej niż bezdzietnych mężczyzn.

To był punkt wyjścia. Od tamtej pory literatura naukowa rozrosła się do setek badań, obejmujących dziesiątki krajów i miliony obserwacji. Obraz, który z niej się wyłania, jest bardziej złożony niż prosta historia o dyskryminującym pracodawcy. A przez to problem jest trudniejszy do rozwiązania.

Świat po pierwszym dziecku

Przez długi czas badania nad zawodowymi konsekwencjami macierzyństwa ograniczały się do garstki bogatych państw. Brakowało danych. W 2023 r. Henrik Kleven z Princeton University oraz Camille Landais i Gabriel Lèite-Mariante z LSE opublikowali pracę, która znacząco wypełniła tę lukę. „The Child Penalty Atlas” to mapa kar za dziecko zbudowana na podstawie danych z 134 krajów.

Wyniki są jednoznaczne co do kierunku, choć różne co do skali. W zde-

cydowanej większości państw kobiety i mężczyźni podążają równoległymi ścieżkami zawodowymi do momentu pojawienia się pierwszego dziecka. Potem drogi się rozchodzą: kobiety tracą szanse zawodowe i gorzej zarabiają, mężczyźni nie (czasem otrzymują premię za ojcostwo). Ten wzór pojawia się wszędzie, od Danii po Bangladesz, od Argentyny po Japonię.

Skala różnic jest oszałamiająca. W Bangladeszu i Jordanii kara sięga ponad 60 proc. – kobiety z dziećmi pracują ponad dwa razy rzadziej niż kobiety bezdzietne w tym samym wieku. W krajach skandynawskich kara wynosi kilkanaście procent. W Wietnamie, Laosie i Kambodży niemal zero.

Ani polityka rodzinna, ani normy kulturowe nie wyjaśniają w pełni tych dysproporcji. Kleven i jego współpracownicy zwracają uwagę na strukturę rynku pracy. Im wyższy udział pracowników usług i przemysłu, im bardziej zurbanizowany kraj, tym wyższa kara za dziecko. Rolnik lub drobny wytwórca pracujący na własny rachunek mogą dostosować swój dzień do rytmu opieki nad niemowlęciem. Dla pracownika etatowego to dużo trudniejsze.

Płynący z tego wniosek brzmi paradoksalnie: rozwój gospodarczy i wzrost zatrudnienia kobiet niekoniecznie eliminują nierówności wynikające z macierzyństwa. Mogą je nawet pogłębiać, bo wiążą się z większą skalą sztywnych form zatrudnienia. Zawodowa emancypacja i likwidacja kary za macierzyństwo to dwa różne cele, które mogą przez pewien czas ciągnąć w przeciwnych kierunkach.

Zaskakuje też odkrycie dotyczące miast. Nawet w krajach o ogólnie niskiej karze, takich jak Wietnam czy Kenia, mieszkanki stolicy i dużych aglomeracji są zawodowo gorzej traktowane niż reszta kraju. Pekin, Ho Chi Minh City, Nairobi – w każdej z tych metropolii urodzenie dziecka wyraźnie różnicuje ścieżki kariery kobiet i mężczyzn, mimo że dane krajowe sugerują minimalny problem. Mieszkanie w mieście, wiążące się zwykle nie tylko z wyższymi zarobkami, lecz także pracą etatową,

wyduje się tu jednym z kluczowych czynników.

Kara zanim zostaniesz matką

Perspektywę makroekonomiczną przyjęli też autorzy badania opublikowanego w lutym 2026 r. w „Journal of Family and Economic Issues”. Ning Zhu z Fudan University, Aleksandra Gawel z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu i Timo Toikko z Uniwersytetu Wschodniej Finlandii przeanalizowali dane panelowe z 27 krajów Unii Europejskiej za lata 2006–2022, by odpowiedzieć na pytanie, czy kara za macierzyństwo dotyka wyłącznie matek.

Odpowiedź brzmi: nie. Kobiety bezdzietne w wieku rozrodczym są często postrzegane przez pracodawców jako potencjalne matki. Antycypując ciężę, ograniczają im szanse na zatrudnienie, awans i podwyżkę. Kara się więc już w głowach rekruterów i menedżerów, którzy kalkulują ryzyko nieobecności.

Ma to bezpośrednie znaczenie dla trwającej w Polsce i całej UE debaty nad dyrektywą o transparentności wynagrodzeń. Jej zwolennicy argumentują, że jawność płac ujawni dyskryminację i zmusi pracodawców do wyrównania różnic. Krytycy odpowiadają, że same widełki płacowe nie zmienią postaw. Badanie Zhu i współpracowników zdaje się przyznawać rację obu stronom: problem jest realny i systemowy, ale jego źródłem nie jest wyłącznie jawna dyskryminacja, lecz głębiej zakorzenione oczekiwania dotyczące ról płciowych.

Autorzy badania potwierdzają też, że relacja między dziecnością a luką płacową nie jest prosta. Późniejszy wiek urodzenia pierwszego dziecka zmniejsza lukę, bo ogranicza przerwy w karierze w kluczowym okresie budowania pozycji zawodowej. Ale efekt zależy od dostępności elastycznego zatrudnienia i opieki. Elastyczna praca zmniejsza lukę, gdy jest powszechna. Gdy jest dostępna wyłącznie dla matek lub stygmatyzowana jako przejaw mniejszego zaangażowania, to może ją pogłębiać. Wyższe wykształcenie kobiet nie gwarantuje zmniejszenia dysproporcji. W niektórych krajach mężczyźni czerpią z edukacji większe korzyści finansowe, co paradoksalnie może pogłębiać lukę wśród najlepiej wykształconych.

Eksperyment z Hiszpanią

Wśród narzędzi polityki publicznej proponowanych jako remedium na karę za macierzyństwo urlop ojcowski cieszy się największą popularnością wśród decydentów. Ale badacze mają na ten temat rozbieżne opinie. Założenie jest proste: jeśli ojcowie biorą urlop i angażują się w opiekę nad niemowlęciem, matki będą mogły szybciej wrócić do pracy, a wtedy kariery obu rodziców będą się rozwijać bardziej symetrycz-



FOT. RALF HIEMISCH/FSTOP/GETTY IMAGES

nie. Jednak praktyka okazuje się znacznie bardziej skomplikowana.

W 2025 r. Dani Marinova i Pedro Manuel Bellón-Jiménez z Uniwersytetu Autonomicznego w Barcelonie opublikowali w „Social Policy & Administration” badanie, które rygorystycznie testuje tę tezę. Przedmiotem analizy była reforma urlopu ojcowskiego w Hiszpanii z 2021 r., polegająca na wydłużeniu go z czterech do 16 tygodni, z sześcioma tygodniami obowiązkowymi. Następnie badacze przeprowadzili ankiety wśród 1,8 tys. matek, których dzieci urodziły się przed reformą i po niej. Wyniki okazały się niejednoznaczne.

Ogólnie wydłużenie urlopu ojcowskiego nie skróciło znacząco przerw w zatrudnieniu matek. Prawie dwie na trzy kobiety deklarowały, że dokonały większych poświęceń zawodowych niż ich partnerzy, niezależnie od tego, ile trwał ich urlop. Ale jest jeden wyjątek. Wśród matek zarabiających mniej więcej tyle samo co partnerzy, czyli około jednej piątej próby, reforma przyniosła wyraźne rezultaty. Prawdopodobieństwo powrotu do pracy w ciągu sześciu miesięcy wzrosło o 19 pkt proc., do pełnego etatu – o 15 pkt proc. Odsetek kobiet wskazujących zaangażowanie ojca jako czynnik umożliwiający im powrót do pracy skoczył z 5 do 36 proc. Dla matek zarabiających więcej niż partnerzy reforma nieznacznie przyspieszyła powrót do pracy, ale nie zmieniła jego trybu. Dla 53 proc. matek zarabiających nic się nie zmieniło.

Urlop ojcowski działa więc tam, gdzie para była już względnie równa pod względem ekonomicznym. Nie zmienia układu sił w parach z tradycyjnym podziałem ról. Polityka

wzmacnia istniejące tendencje, zamiast je odwracać.

Przerwana ścieżka

Cztery dekady badań pozwoliły zidentyfikować kilka nakładających się na siebie mechanizmów wyjaśniających trwałość kary za macierzyństwo. Żaden sam w sobie nie jest wystarczający. I właśnie dlatego zjawisko jest tak odporne na interwencje.

Pierwszy z nich to deprecjacja kapitału ludzkiego. Przerwy w zatrudnieniu powodują utratę kwalifikacji, kontaktów zawodowych i stażu. Im dłuższa pauza, tym trudniej wrócić na stanowisko sprzed ciąży. Ważne jest też to, że rynek pracy wycenia ciągłość kariery, a po zakończeniu urlopu macierzyńskiego kobiety nierzadko są traktowane przez pracodawców jako osoby o „przerwanej ścieżce”, niezależnie od przepracowanych lat.

Kolejnym elementem jest to, że matki częściej wybierają pracę „przyjazną rodzinie”, czyli elastyczną, czasem z niższym wynagrodzeniem i gorszymi perspektywami. To decyzja w dużej mierze wymuszona niedostępnością żłobków, nierównym podziałem domowych obowiązków i strukturą wynagrodzeń w związku. Bywa jednak interpretowana jako dowód mniejszych ambicji. Claudia Goldin, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2023 r., udowodniła, że systemy wynagradzania w coraz większym stopniu premują gotowość do pracy ponad normę, w nieregularnych godzinach, na każde zawołanie klienta lub przełożonego. Matki – częściej niż ojcowie – nie mogą sobie pozwolić na taką dys-

pozycyjność. Tracą więc nie tylko dlatego, że pracują mniej, lecz także dlatego, że rynek wyżej wycenia tę formę pracy, na którą wiele z nich nie może sobie pozwolić.

Do tego dochodzi mechanizm odkryty przez Correll i współpracowników. Chodzi o to, że pracodawcy postrzegają matki jako mniej kompetentne (dyskryminacja statusowa) lub – gdy matka udowadnia swoje kompetencje – jako zbyt skupioną na karierze, żeby być „dobrą matką” (dyskryminacja normatywna).

Wzorzec, ale nie przepis

W debacie publicznej Skandynawia funkcjonuje jako dowód, że problem można rozwiązać. Fakty są bardziej subtelne. W krajach nordyckich luka płacowa między matkami a kobietami bezdzietnymi jest rzeczywiście niewielka lub nieistniejąca. Ale gdy porównamy matki z ojcami, dysproporcje nadal istnieją. Badania obejmujące Danię, Szwecję i Norwegię wykazują, że nawet przy rozbudowanych urlopach, powszechnych żłobkach i wysokich wynagrodzeniach kobiet, narodziny dziecka wciąż bardziej różnicują ścieżkę zawodową matek niż ojców.

W Norwegii, która wprowadziła obowiązkowy „ojcowski kwartał” urlopowy już w 1993 r., kara za macierzyństwo jest mniejsza niż w Europie Środkowej czy Południowej, ale nie zniknęła. Efekty polityki zależą w dużej mierze od podziału zarobków w parze (koresponduje to z ustaleniami Marinovej z Hiszpanii).

Budig, Misra i Boeckmann przeanalizowali dane z 22 krajów, wskazując, że niższe kary płacowe za macierzyństwo wiążą się z polityką o konkretnym profilu: nie za krótkim i nie za długim urlopem macierzyńskim, powszechnie dostępną opieką żłobkową finansowaną z pieniędzy publicznych, urlopami ojcowskimi i niższymi stawkami podatkowymi dla drugich żywicieli w rodzinie. Żaden z tych elementów sam w sobie nie wystarczy.

Badania prowadzone wśród imigrantek w Szwecji dowodzą, że kobiety przenoszą ze sobą część norm kulturowych z kraju pochodzenia. W ich przypadku kara za macierzyństwo jest bliższa karze występującej w kraju, z którego przybyły, niż tej typowej dla Szwecji. Okazuje się, że zinternalizowane przekonania o rolach płciowych są niezależnym czynnikiem wyjaśniającym to zjawisko, obok polityki i struktury rynku.

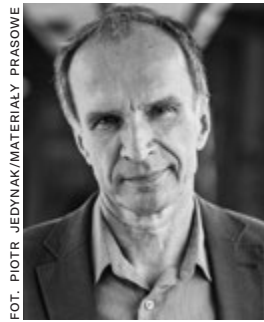
Nie ma jednego lekarstwa

W ostatnich latach Polska wykonała ważne kroki w zakresie polityki rodzinnej – od rozbudowy transferów gotówkowych po stopniowe wydłużanie uprawnień urlopowych. Unijna dyrektywa o transparentności wynagrodzeń, którą powinniśmy wdrożyć do 7 czerwca 2026 r., dodaje do tego obowiązek ujawniania widełek płacowych i raportowania luk.

Czy to wystarczy? Literatura naukowa sugeruje, że niekoniecznie. Transparentność wynagrodzeń może częściowo odsłonić mechanizm polegający na karaniu kobiet, zanim zostaną matkami, ale sama go nie wyeliminuje. Wyniki Marinovej mówią, że urlopy ojcowskie pomagają związkom, które są już względnie równe, lecz niczego nie zmieniają w parach z tradycyjnym podziałem ról. A dane Klevena z „Child Penalty Atlas” przypominają, że problem ma korzenie w rynku pracy etatowej, na którym elastyczność jest cenna, a dyspozycyjność wyceniana ponad miarę.

Polska luka płacowa między płciami wynosi ok. 6 proc. i jest jedną z mniejszych w UE. Bywa to interpretowane jako dowód na stosunkowo dobrą sytuację zawodową kobiet. Rzecz w tym, że część tej niskiej luki wynika z relatywnie niskiej różnicy między zarobkami matek i ojców w porównaniu z Europą Zachodnią, a część z tego, że polskie matki pracują dość dużo i w pełnym wymiarze, bo nie mogą sobie pozwolić na redukcję etatu. Niska luka płacowa może więc być wynikiem biedy, a nie równości.

Nauka nie oferuje jednego lekarstwa na karę za macierzyństwo. Ale po 30 latach badań wiadomo, co nie działa w izolacji: ani sam urlop ojcowski, ani samo wykształcenie kobiet, ani sama transparentność płac. Działa natomiast kombinacja powszechnej opieki żłobkowej, dzielenia urlopów, rynku pracy, który nie premiuje dyspozycyjności ponad wszystko, i norm kulturowych, które zmieniają się wraz z pokoleniami. ©



FOT. PIOTR JEDYNAK/MATERIAŁY PRASOWE

Groźny sojusz prezydenta z prezesem NBP

Andrzej **Wojtyna**

Umowa z Unią Europejską w sprawie programu SAFE została szczęśliwie podpisana. Weto prezydenta Karola Nawrockiego pokazuje jednak, jak poważne mogą być zagrożenia dla instytucjonalnych ram gospodarki wynikające z jego niekonstytucyjnego sojuszu z prezesem NBP.

Poprzez działania PiS, z wydatną pomocą prezydentów Andrzeja Dudy i Karola Nawrockiego, udało się podważyć niezależność Trybunału Konstytucyjnego i sparaliżować jego prace. Tym samym trybunał nie może się wypowiedzieć bezstronnie w sprawie łamania zasady niezależności banku centralnego, do czego doszło w wyniku sojuszu prezesa NBP i prezydenta RP. Kwestią wtórną jest przy tym to, kto był inicjatorem tego sojuszu, gdyż żadnej ze stron nie wolno było ani podejmować się takiego działania, ani w nim uczestniczyć.

Do „ojcstwa” pomysłu nikt się otwarcie nie przyznaje, ale rekonstrukcja przebiegu zdarzeń pozwala przypuszczać, że narodził się on w centralnych gremiach PiS, po czym został przekazany prezydentowi i prezesowi NBP do dopracowania i wspólnej realizacji. Należy też zaznaczyć, że mimo tradycyjnej dbałości o dobre relacje z władzami PiS prezes NBP nie przejawiał szczególnego entuzjazmu dla powierzonego mu zadania. Wynikało to stąd, że to nowe zadanie okazało się dla niego kompetencyjnie wymagające, nawet jeśli wiązało się z jego ulubioną działalnością, czyli kupowaniem i doglądaniem złota. Tak czy inaczej, z perspektywy właściwego funkcjonowania instytucjonalnych ram gospodarki Polski, polityczny sojusz prezesa NBP z prezydentem zmierzający do stworzenia alternatywnego projektu „SAFE o proc.” należy traktować jako bardzo poważne naruszenie zasady niezależności banku centralnego i osłabienie jego wiarygodności. Cechą szczególną polskiego przypadku jest to, że sojusz ten w normalnych warunkach uznany zostałby za atak na niezależność banku centralnego i za mało wyszukaną próbę jego upolitycznienia. Polska specyfika polega też na tym, że ataku nie dokonuje rząd, lecz prezydent z tego samego obozu politycznego, który próbuje poszerzyć kosztem rządu zakres swoich uprawnień jako organu władzy wykonawczej.

Niezależnie od tego, kto z „duetu” był inicjatorem SAFE o proc., prezes Adam Glapiński zrobił przez swoje zaangażowanie się w ten pomysł wielki krok w stronę Trybunału Stanu, chociaż i prezydent nie pomylił kroku w tym marszu. Pytanie, czy nareszcie krok w tę samą stronę zrobi sejmowa komisja odpowiedzialności konstytucyjnej. Decyzja marszałka Czarzastego, że Sejm nie zajmie się SAFE o proc., jest dla prezesa NBP właściwie korzystna, gdyż zostanie mu oszczędzona część wstydu. Delikt konstytucyjny w postaci skokowego wzrostu upolitycznienia banku centralnego jednak pozostaje, a wina leży zarówno po stronie prezesa Adama Glapińskiego, jak i prezydenta Karola Nawrockiego.

Selektywna apolityczność NBP

Obecny prezes NBP przyjął więc wyraźnie podejście polegające na selektywnej (asymetrycznej) apolityczności banku centralnego: stosuje ją wobec obecnego rządu, ale nie wobec prezydenta z własnego obozu politycznego. Jest to więc kolejny przykład bardzo szczególnego sposobu rozumienia zasady niezależności banku centralnego, zgodnie z którą chodzi przecież przede wszystkim o niepodleganie naciskom ze strony organów władzy wykonawczej, czyli także ze strony prezydenta.

Mimo sojuszu zawartego w sprawie weta i SAFE o proc. nie jest jasne, czy było to zdarzenie o charakterze jednorazowym i taktycznym, czy też chodzi raczej o początek współpracy o strategicznym, choć skrywanym przez obie strony charakterze. Odpowiedź zależy głównie od tego, w jakich kwestiach poglądy i interesy polityczne Karola Nawrockiego i Adama Glapińskiego pokrywają się, a gdzie są rozbieżne. Zbieżne i dlatego szczególnie groźne są one w nadrzędnym wymiarze: w ich antyunijności, w ich opowiadaniu się za polexitem oraz w uznaniu nacjonalizmu i populizmu ekonomicznego za właściwy sposób zdobywania i utrzymywania władzy politycznej. Natomiast konkretne propozycje, niezależnie od tego, czy w postaci SAFE o proc., czy w wariantcie ograniczenia poziomu rezerw, są dla prezesa NBP mało komfortowe, gdyż trudne do pogodzenia z jego obsesją na punkcie powiększania zasobów złota.

Tu warto wspomnieć o znaczeniu przynajmniej jednego ze szczegółów instytucjonalno-prawnych. Kwestia dotyczy tego, czy cel zarządu NBP w postaci docelowej liczby ton złota jest dodatkowo określany przez jego udział procentowy w łącznych rezerwach. Jest to istotne z punktu widzenia kontrowersji wokół optymalnego poziomu rezerw dewizowych. Określony wyższy udział złota mógłby zostać osiągnięty poprzez obniżenie łącznego poziomu

rezerw i bez dalszych jego zakupów. Zmieniłaby się struktura rezerw, która jest istotna ze względu na potrzebę bezpiecznej ich dywersyfikacji. Nadrzędnym celem prezesa NBP jest jednak najwyraźniej szybkie zwiększanie liczby ton złota, niezależnie od kosztów tego typu polityki. Osobną kwestią jest to, czy uprawnienia prezesa NBP w tak ważnej dla bezpieczeństwa kraju kwestii powinny być tak duże, do czego jeszcze wrócimy.

W poszukiwaniu punktu podparcia

Sojusz prezydenta z prezesem NBP można potraktować jako praktyczny przykład „teorii latarni” zaproponowanej przez prof. Alana S. Blindera, byłego wiceprezesa Fed, która w żartobliwy sposób podsumowuje stosunek polityków do ekonomii. Zgodnie z nią, podobnie jak w przypadku korzystania przez osoby nietrzeźwe z pobliskiej latarni, politycy szukają w ekonomii nie światła, lecz punktu podparcia. Być może więc prezydent, upajając się poszerzaniem zakresu swojej władzy politycznej, uznał za stosowne, aby potraktować bank centralny w sposób instrumentalny, nie zważając na to, że burzy w ten sposób ważną i silnie osadzoną w teorii ekonomii podstawę konstytucyjnego ładu w gospodarce. A może w głębszej trosce o bezpieczeństwo kraju uznał, że jest zwierzchnikiem nie tylko sił zbrojnych, lecz także zwierzchnikiem sił rynkowych i procesów gospodarczych? Chociaż taka możliwość wydaje się absurdalna, to pozostaje do wyjaśnienia kwestia, czy taka sytuacja mogłaby być na rękę prezesowi NBP. Obecnie być może tak, ale powinna być ona nie do zaakceptowania przez jego następcę.

Debata nad zgłoszonym po wecie projekcie „SAFE o proc.” pokazuje dobitnie, że trzeba bardzo wyraźnie rozróżnić między poszerzeniem mandatu banku centralnego (zakresu jego odpowiedzialności przedmiotowej) a jego upolitycznieniem. Poszerzenie mandatu może być w nowych okolicznościach uzasadnione, a nawet konieczne (zarówno w odniesieniu do celów, jak i narzędzi), ze względu na zachowanie skuteczności oddziaływania banku centralnego na gospodarkę. Musi to jednak znaleźć odpowiedni wyraz w legislacji. Zwiększenie zakresu prowadzonych przez bank centralny działań (tzw. mission creep) podnosi oczywiście ryzyko jego upolitycznienia. Aby tego uniknąć, należy przyjąć pewne zabezpieczenia prawne, chociaż – jak pokazuje doświadczenia zagraniczne po kryzysie 2007–2008 – jest to zadanie bardzo skomplikowane.

Trudno raczej uznać, że mocną stroną obecnego prezesa NBP jest śledzenie, interpretowanie i wyjaśnianie współczesnych współzależności makroekonomicznych i makrofinansowych oraz uzasadnianie decyzji podejmowanych przez organy banku centralnego. Zdecydowanie preferuje on model niezależności, który umożliwia uznaniowość w działaniu banku centralnego i ogranicza demokratyczną nad nim kontrolę. Z tego powodu bardzo wygodne byłoby dla niego zaangażowanie NBP w szeroko rozumianą tzw. politykę przemysłową, której coraz ważniejszą częścią staje się polityka wydatków na obronę, objęta w dużej mierze klauzulą tajności. Przez takie rozszerzenie misji, ale bez formalnego zmodyfikowania mandatu banku centralnego, obniża się zakres demokratycznego nad nim nadzoru (accountability), a zwiększa się stopień jego upolitycznienia. Co istotne, w wyniku takiego rozszerzenia misji zdecydowanie łatwiej jest ukryć lub uzasadnić błędy w prowadzonej przez bank centralny polityce, gdyż nowe funkcje quasi-fiskalne rozmywają jego odpowiedzialność i tak już rozwodnioną przez narastające „patriotyczne” uniesienie.

Nowa doktryna bezpieczeństwa

Uważam, że rzeczywiste intencje stojące za groźnym sojuszem prezydenta i prezesa NBP stały się dużo bardziej czytelne po ważnej konferencji zorganizowanej przez prof. Grzegorza W. Kołodkę w Akademii Leona Koźmińskiego 27 marca tego roku. Stało się to za sprawą prezesa Leszka Skiby, znanego postaci w sektorze finansów, który wystąpił w panelu oficjalnie jako doradca prezydenta. Ta i inne okoliczności pozwalają uznać, że jest on głównym architektem projektu „SAFE o proc.”. Według mnie jego wypowiedź sugerowała potrzebę przejścia do pewnej nowej doktryny. Zgodnie z nią prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych uzyskuje uzasadniony mandat do sprawowania nadzoru nad wykorzystaniem potencjalnych zysków NBP, zgodnie z zasadą „bezpieczeństwo militarne fundamentem siły złotego”. Zdaniem prezesa Leszka Skiby, gdy sytuacja jest wyjątkowa, ta nowa doktryna może zastąpić inną, czyli tradycyjnie rozumianą zasadę niezależności banku centralnego.

Moja próba zrekonstruowania istoty i nadrzędnego celu „doktryny Skiby” jest następująca: a) prezes NBP uznaje, że sytuacja jest wyjątkowa, w związku z czym główny mandat NBP uzyskuje nowe ramy; b) te nowe ramy oznaczają, że bezpieczeństwo militarne jest filarem bezpieczeństwa ekonomicznego, gdyż „trudno być krajem stabilnym makroekonomicznie i finansowo, jeśli jest się państwem sezonowym”; c) wydatki na zbrojenia mają zapobiegać ryzyku odpływu kapitału i deprecjacji waluty. Ironicznie, ale nie całkiem bezpodstawnie można zauważyć, że zgodnie z tą logiką następnym spodziewanym krokiem będzie próba znalezienia formuły prawnej umożliwiającej łączenie funkcji prezydenta i prezesa banku centralnego. Podobno z takim właśnie zapytaniem zwrócił się do prawników Białego Domu prezydent Donald Trump.

Szkoda, że wypowiedź prezesa Leszka Skiby nie spotkała się z należyłą reakcją wybitnych uczestników obydwu paneli, ponieważ wyłania się z niej daleko idący i właściwie zatrważający ogólny zamysł przebudowy nie tylko instytucjonalnego porządku gospodarki, ale właściwie samych podstaw ustroju państwa. W całej zresztą dyskusji wywołanej przez weto prezydenta pomija się w zasadzie problem, że chodzi o nie mniej niż o zamach na konstytucyjną zasadę niezależności i apolityczności banku centralnego przygotowany przez dwie najważniejsze w kraju osoby, które zasady te powinny strzec. Zaskakujące jest to, że zagrożenia tego nie dostrzegali prof. Grzegorz W. Kołodko, gdy udawał się do prezydenta w końcu ubiegłego roku ze swoją propozycją obniżenia poziomu rezerwy, ani polemizujący z nim w tej sprawie prof. Leon Podkaminer (DGP z 17 marca 2026 r.). Co bardzo znamienne, do tej próby skokowego upolitycznienia banku centralnego dochodzi w czasie, gdy prezydent wrócił do pomysłu tworzenia nowej konstytucji. W tym kontekście na bardzo pozytywną ocenę zasługuje wnikliwa, krytyczna analiza zawarta w opinii Rady Fiskalnej z 26 marca br. W odniesieniu do „doktryny Skiby” opinia ta pokazuje, że właściwie cały sens i cel SAFE o proc. polegał na przemyceniu w nowej ustawie pozornie mało znaczących „detali instytucjonalnych”, które dawałyby „sojuszowi” bardzo znaczący wpływ na politykę wydatków obronnych.

Z kolei wypowiedzi prezesa Leszka Skiby w trakcie debaty zorganizowanej przez DGP nt. „Czy Polska powinna przyjąć euro?” (portal Forsal.pl, 8 maja 2026 r.) umocniły mnie w przekonaniu, że sprawa jest rzeczywiście bardzo poważna. Uprawdopodobniło się przypuszczenie, że konkretnym celem nowej doktryny jest polski odpowiednik procesu „trumpizacji Fedu”, o którym pisał ostatnio „The Economist”, czyli próba ograniczenia przez prezydenta niezależności banku centralnego. Specjalnie bym się więc nie zdziwił, chociaż mocno zafrasował, gdyby obóz prezydencki właśnie prezesa Leszka Skibę wskazał niebawem jako „kandydata na kandydata” na przyszłego prezesa NBP. Strach pomyśleć, jeśli w zamian za ten zaszczyt miałby on zostać zobowiązany do przygotowania treści rozdziału o finansach publicznych, a w tym zapisów o NBP, do projektu nowej konstytucji.

W stronę monarchii monetarnej

Bardzo niepokojące są potencjalne długookresowe konsekwencje sojuszu między władzą wykonawczą a bankiem centralnym. Ostrzega przed nimi Paul Tucker, najwybitniejszy chyba współczesny autorytet w kwestii optymalnego zakresu niezależności przekazywanej instytucjom gospodarki rynkowej. W najnowszej pracy wydanej przez renomowany The Peterson Institute for International Economics zwraca on uwagę, że narzędzia monetarne są zawsze ukrytym sposobem zwiększania opodatkowania, najczęściej przez niespodziewaną inflację lub deflację, ale także przez bardziej subtelne sposoby. Dlatego w demokracji liberalnej kontrola nad tymi narzędziami nie powinna w żadnym wypadku znajdować się w rękach władzy wykonawczej, lecz legislatury. Wynikają stąd konieczne ograniczenia, jakie należy ustanowić, aby przeniesienie uprawnień do banku centralnego nie doprowadziło do „wyłonienia pewnego rodzaju nie pochodzącego z wyboru monetarnej monarchy”. Paul Tucker ostrzega Amerykanów, że jeśli w wyniku decyzji Sądu Najwyższego prezydent uzyska kontrolę nad narzędziami monetarnymi, to Stany Zjednoczone pozbędą się jednej z podstawowych zasad konstytucjonalizmu, jaką jest rozdział władzy. Uważam, że próba poszerzenia przez prezydenta Karola Nawrockiego zakresu uprawnień władzy wykonawczej i to w sojuszu z prezesem NBP bardzo silnie zwiększa ryzyko takiego wynaturzenia zasady niezależności banku centralnego.

Jeśli Adam Glapiński, jako prezes banku centralnego, chce się koniecznie zaangażować w podnoszenie bezpieczeństwa kraju, to zamiast podpisywania

Narzędzia monetarne są ukrytym sposobem zwiększania opodatkowania, najczęściej przez niespodziewaną inflację lub deflację. Dlatego w demokracji liberalnej kontrola nad nimi nie powinna znajdować się w rękach władzy wykonawczej, lecz legislatury

się pod bardzo ryzykownymi i nieprzemyślanymi projektami w rodzaju SAFE o proc. powinien raczej sięgnąć po najnowszą książkę prof. Kristin Forbes z MIT. W książce tej wybitna ekonomistka w sposób oryginalny pokazuje, jakie lekcje dla banków centralnych płyną ze słynnego dzieła generała Sun Zi w świetle doświadczeń ostatnich dwu dekad. Pouczające byłoby odniesienie analizy prof. K. Forbes bezpośrednio do NBP.

Szczególnie niekorzystne dla gospodarki jest to, że sojusz między Karolem Nawrockim i Adamem Glapińskim skokowo upolityczniający NBP i osłabiający i tak niskie przekonanie o jego niezależności następuje dokładnie wtedy, gdy uwarunkowania zewnętrzne silnie przemawiają za potrzebą koordynacji polityki monetarnej i fiskalnej. Jak piszą Giancarlo Corsetti i Leonardo Melosi („Finance & Development”, March 2026), niestabilna sytuacja geopolityczna i silne szoki podaźowe komplikują tę koordynację. Musi więc być ona prowadzona w sposób bardziej subtelny i wyważony. Jak ostrzegają autorzy, dotyczy to szczególnie krajów w trudnej sytuacji budżetowej, w których „trwałe dostosowanie fiskalne będzie prawdopodobnie wymagać pragmatycznej tolerancji dla pewnej kontrolowanej inflacji”. Można mieć nadzieję, że taka konieczność w Polsce nie wystąpi i że nasza gospodarka nie stanie się w najbliższych latach klinicznym przypadkiem potwierdzającym żywo dyskutowaną fiskalną teorię poziomu cen. Niemniej jednak pomysł z SAFE o proc. skokowo obniżył poziom zaufania do motywów działania prezesa NBP, co odsuwa w czasie perspektywę zbudowania apolitycznej platformy, która umożliwiłaby kształtowanie właściwej średniookresowej kombinacji polityki fiskalnej, monetarnej i makroostrożnościowej. Szansa, jaką w tym względzie stwarzało utworzenie po światowym kryzysie 2007–2009 Komitetu Stabilności Finansowej, została w zasadzie zmarnowana przez nie do końca przemyślane zapisy ustawowe określające jej cele i sposób funkcjonowania. Pytanie, czy obecnie możliwa jest próba przywrócenia rangi tej instytucji, tak potrzebnej zarówno dla zapobiegania kryzysom, jak i ewentualnego zarządzania nimi. Jednym z pilnych zadań komitetu w nowej formule powinna być, moim zdaniem, rzetelna, kompleksowa ocena kosztów i korzyści strategii bezrefleksyjnego zwiększania rezerw złota, jaką krajowi narzucił prezes Adam Glapiński. Raport na ten temat powinien być następnie przedstawiony do akceptacji Sejmowi i Senatowi.

Ryzyka upolitycznienia NBP

Należy się obawiać, że bez odbudowania zaufania między rządem a NBP do i tak niskiego poziomu sprzed weta prezydenckiego szanse na lepiej skoordynowaną politykę mix będą znikome. Jeśli przedłużający się stan niestabilności w gospodarce światowej wzmocni tendencje inflacyjne, to należy raczej spodziewać się przejścia NBP do znacznie bardziej restrykcyjnej polityki stóp procentowych wspomaganą akcją dezinformacyjną na billboardach i w wykupywanych w mediach komunikatach reklamowo-propagandowych. Takiemu scenariuszowi będzie sprzyjać wejście w kampanię wyborczą i chęć wykorzystania nowo zawartego sojuszu przeciwko ugrupowaniom pro-demokratycznym. Przed nadmiernym, politycznie motywowanym, zaostreniem polityki monetarnej może gospodarkę natomiast ochronić obawa PiS, że po zawetowaniu SAFE nawet dla własnego elektoratu stało się dużo bardziej jasne, jak należy rozumieć apolityczność banku centralnego pod kierownictwem Adama Glapińskiego.

Rosnące upolitycznienie NBP i swoiście rozumiany patriotyzm już tradycyjnie znajdują swoje odzwierciedlenie w polityce emisyjnej. W planie emisji na 2026 r. postanowiono uwzględnić tak okrągłe rocznice jak 220. rocznica powstania przeciwko Królestwu Prus czy 120-lecie SGH, natomiast zabrakło w nim miejsca dla uczczenia 100. rocznicy urodzin Andrzeja Wajdy. Nie zabrakło też miejsca dla nachalnej autopromocji w postaci inauguracji serii „niezależny bank centralny – rezerwy złota NBP”, mimo że te dwie kategorie są ze sobą teoretycznie i empirycznie raczej słabo powiązane. Ciekawe, czy prezes, poszukujący dla kolekcjonerów wyrazistych przekazów, zaproponuje dla równowagi wyemitowanie w przyszłym roku monety z inskrypcją „członkostwo w strefie euro jako substytut nadmiernych zakupów złota”.

Na krótszą metę, aby zapobiec dalszemu upolitycznieniu banku centralnego, premier nie powinien się na pewno spieszyć z kontrasygnatą przy powoływaniu nowych członków zarządu NBP. Słusznie więc postąpił, że przedstawione mu do akceptacji wnioski odesłał prezydentowi bez podpisu.

W swoich publicznych wypowiedziach premier powinien natomiast mocno podkreślać, że w obliczu daleko idących przemian w gospodarce światowej jakość kandydatów do pracy w zarządzie ma ogromne znaczenie dla ekonomicznego bezpieczeństwa obywateli. Co więcej, zaostrenie kryteriów selekcji przy zapewnianiu obecnych wakatu w zarządzie powinno wpłynąć pozytywnie na to, jakie osoby wskaże prezydent jako kandydatów na prezesa NBP i na troje przyszłych członków RPP. Bez podejmowania tego rodzaju skutecznych przeciwdziałań gospodarce zagraża utrwalenie się sojuszu, jaki zawiązał się, a właściwie radykalnie wzmocnił, między prezydentem a prezesem NBP. Uważam, że właściwą reakcją na to powinno być równie radykalne wzmocnienie i przyspieszenie działań sejmowej komisji odpowiedzialności konstytucyjnej. ©

Autor jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, członkiem Rady Polityki Pieniężnej w latach 2004–2010



KONKURS

ORGANIZATOR

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

PATRONAT HONOROWY

Marcin Kulasek
Minister Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER PROJEKTU

KGHM
POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI

JWP
JURYSTYCZNY WYDZIAŁ PRAWNY

PATRONAT

PAN
POLSKA AKADEMIA NAUK

URZĄD PATENTOWY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

NCBR
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

Innovations Hub
Foundation

Youth Business
Poland

Eureka! DGP. Najlepsi z najlepszych

Trwa 13. edycja konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki”. Do udziału zaprosiliśmy polskie uczelnie, instytuty badawcze oraz jednostki naukowe PAN. Do czerwca w DGP Magazynie na Weekend oraz na Gazetaprawna.pl będziemy opisywać wynalazki nominowane przez redakcję do nagrody głównej. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na gali pod koniec czerwca, a podsumowanie cyklu ukaże się w DGP. Główna nagroda to kampania promocyjna dla uczelni lub instytutu o wartości 50 tys. zł w mediach INFOR PL SA (wydawcy Dziennika Gazety Prawnej), ufundowana przez organizatora. Po raz pierwszy Kapituła Konkursu przyzna Nagrodę Specjalną „Nowe Pokolenie Innowatorów”, skierowaną do liderów projektów, którzy nie ukończyli 35. roku życia. Strona internetowa konkursu: eureka.dziennik.pl/

Ocena zagrożenia powrotem raka

Wykrywanie mutacji nowotworowych w DNA pojedynczych komórek pomoże w doborze terapii

Zespół dr hab. Aleksandry Markiewicz z Zakładu Onkologii Translacyjnej Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii UG i GUMed opracował sposób wykrywania mutacji onkogennych w DNA oraz przewidział jego zastosowanie do oceny nowotworowego pochodzenia już pojedynczych komórek.

Różne nowotwory, np. piersi, tworzą guzy, które nawet po usunięciu mogą nawracać i być niebezpieczne dla pacjentki. Oderwane od nich pojedyncze komórki nowotworowe przedostają się do układu krwionośnego i wraz z krwią wędrują w odległe obszary organizmu, gdzie się zatrzymują, tworząc przerzuty. – Stąd po wycięciu guza szukamy we krwi komórek nowotworowych, jako informacji, czy nowotwór mógł właśnie wrócić, ale jest jeszcze zbyt mały, by został wykryty metodami obrazowymi, np. tomografią – mówi dr hab. Aleksandra Markiewicz.

Jak podkreśla badaczka, komórki nowotworowe występujące we krwi są bardzo rzadkie. – W próbce, którą się pobiera (ok. 5 ml), znajdujemy ich kilka lub tylko jedną na 5 mld komórek. Stąd chcielibyśmy sprawdzić

w tych komórkach obecność mutacji onkogennych, żeby potwierdzić, czy są to prawdziwe komórki nowotworowe. Jest to istotne, jeśli decyzje terapeutyczne mają być podejmowane na podstawie tak rzadkich komórek – mówi dr hab. Aleksandra Markiewicz.

Stosując nowe rozwiązanie, naukowcy wychwytyją krążące we krwi komórki nowotworowe, następnie powielają ich genom wielokrotnie, żeby uzyskać odpowiednią ilość materiału do badań. Następnie przeprowadzane jest namnażanie pojedynczego genu zawierającego miejsce z potencjalną mutacją często występującą w raku piersi. W niektórych przypadkach taka mutacja może odpowiadać za wrażliwość nowotworu na leki, które mogą zostać podane pacjentce.

– Nie ma jeszcze badań klinicznych, które pokazują, że na podstawie mutacji w krążących we krwi komórkach nowotworowych możemy dobrze dobrać terapię. Tak jest w przypadku analizy sekwencji mutacji w guzach, a krążące komórki nowotworowe to jeszcze nowa dziedzina – podkreśla badaczka z Gdańska.

Obecnie w panelu diagnostycznym znajdują się 32 mutacje w sześciu genach. – Bardzo byśmy chcieli poszerzyć ten panel, bo im więcej mutacji uwzględnimy, tym prawdopodobieństwo, że prawidłowo zaklasyfikujemy komórkę jako nowotworową, a nie przypadkowo wyizolowaną normalną, będzie wyższe – mówi dr hab. Aleksandra Markiewicz. ©

Wynalazek zespołu dr hab. Aleksandry Markiewicz z Zakładu Onkologii Translacyjnej Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii UG i GUMed

Innowacja w nanosatelitach

Sterownik do napędów satelitarnych z nadtlenkiem wodoru zwiększy moc silnika

Sterownik silnika dla nanosatelitów wykorzystujących jako materiał pędny nadtlenek wodoru to wynalazek zespołu Michała Piwowarczyka z warszawskiego Instytutu Lotnictwa, który należy do Sieci Badawczej Łukasiewicz.

Nanosatelity to sztuczne satelity o masie do 10 kg. Najpopularniejszym rodzajem tego typu urządzeń jest CubeSat. – Stanowi określony standard, gdzie rozmiar 1U definiuje się jako kostkę 10 x 10 cm. Możemy je skalować do 3U, 6U i dalej. Na 12U zwykle się kończy, bo większe są już za ciężkie – mówi Michał Piwowarczyk.

Nanosatelity są wykorzystywane w obrazowaniu rolnictwa (upraw), we wsparciu łączności oraz w misjach akademickich i naukowych. – Mają znaczącą przewagę nad tradycyjnymi urządzeniami tego typu. Wyobraźmy sobie, że mamy dużego satelitę, który przelatuje nad nami raz na 1,5 godziny i robi zdjęcie. Kiedy zamiast jednego wielkiego urządzenia wyślemy kilka nanosatelitów, mogą lecieć w konstelacji, fotografując obiekty na Ziemi znacznie częściej – tłumaczy Michał Piwowarczyk.

Tu pojawia się kwestia silników w nanosatelitach, które są potrzebne nie tylko do zmiany orbity urządzenia. – Satelita nie zawsze znajduje się na optymalnej orbicie, dokładnie tam, gdzie powinien być. Silnik to zmienia. Dzięki niemu kontrolujemy też czas misji, zawsze możemy ją przerwać i spalić nanosatelitę w atmosferze – wymienia Michał Piwowarczyk.

Silnik satelitarny do działania potrzebuje elektronicznego sterownika, który odpowiada za jego pracę i pomiar kluczowych parametrów, jest też spięty z siecią różnych czujników oraz zawiaduje komunikacją

z komputerem pokładowym urządzenia. – Opracowaliśmy sterownik do napędów z nadtlenkiem wodoru, które dają relatywnie sporą prędkość. W przemyśle kosmicznym nadtlenek wodoru jest wykorzystywany już od dawna, przy czym są to niskie stężenia tego medium, rzędu ok. 60 proc. Nasz sterownik współpracuje z napędem o bardzo wysokim stężeniu nadtlenu wodoru (98 proc.), co znacznie zwiększa moc silnika – tłumaczy przedstawiciel Instytutu Lotnictwa.

Co ciekawe, wynalazek inżynierów z Warszawy jest już wykorzystywany do sterowania silnikami znajdującymi się na orbicie. – Mowa tu o trzech nanosatelitach 6U należących do Konstelacji Piast. Pracują dla naszego wojska, zostały wystrzelone w kosmos jesienią ub.r. – mówi Michał Piwowarczyk. ©

Wynalazek zespołu Michała Piwowarczyka z warszawskiego Instytutu Lotnictwa, który należy do Sieci Badawczej Łukasiewicz

Peptydy w leczeniu stawów

Nowa terapia zwyrodnień przez stymulację regeneracji chrząstki

To może być przełom. Nowatorski sposób na leczenie zwyrodnień stawów opracował zespół prof. Michała Pikuly z Zakładu Embriologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Pełna nazwa zgłoszonego wynalazku brzmi „Nowe peptydy jako stymulatory chondrogenyzy do zastosowań w medycynie regeneracyjnej”. To odpowiedź na jedno z kluczowych wyzwań współczesnej nauki, czyli uszkodzenia chrząstki w stawach. – Szacuje się, że na świecie jest kilkaset milionów ludzi cierpiących na chorobę zwyrodnieniową stawów. Ci pacjenci często nie mogą normalnie funkcjonować, a współczesna medycyna dysponuje jedynie lecze-

niem objawowym. Stąd chcielibyśmy zaproponować zupełnie nową strategię terapii poprzez podanie peptydu, który będzie stymulował regenerację chrząstki – mówi prof. Michał Pikuła.

Badany przez jego zespół peptyd UG28 stanowi fragment produkowanego w ludzkim organizmie białka CPN7. – Nasi chemicy metodą modelowania molekularnego oraz inżynierii chemicznej wyłonili kilka interesujących fragmentów. Testowaliśmy je in vitro. Okazało się, że UG28 mobilizuje komórki mezenchymalne (macierzyste), które biorą udział właśnie w regeneracji tkanek – tłumaczy badacz z Gdańska.

Potraktowane peptydem komórki mezenchymalne szybko przekształcają się chondrocyty – podstawowe komórki tkanki chrzęstnej. – Zakładamy, że podanie takiego peptydu, samego albo w połączeniu z określonym biomateriałem, mogłoby stymulować komórki pacjenta, by przekształcały się w chondrocyty i budowały chrząstkę, np. w kolanie – dodaje prof. Michał Pikuła.

Na razie zespół z Gdańska przeprowadził badania na komórkach w warunkach laboratoryjnych. – Uodowodniliśmy, że komórki macierzyste świetnie reagują na ten peptyd – podkreśla prof. Pikuła. Ponadto wytworzone chondrocyty zaczynają produkować kolagen typu II – składnik chrząstki potrzebny do właściwego działania stawu.

– Komórki przyspieszają też swoją proliferację, a więc podzieliły komórki. Szybciej również migrują, co jest również ważne w regeneracji. Co również bardzo ważne, nasz peptyd w badaniach in vitro nie indukował reakcji immunologicznych, a więc był neutralny dla organizmu – zaznacza badacz. ©

Wynalazek zespołu prof. Michała Pikuły z Zakładu Embriologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego

Bezpieczniejsze zabiegi wszczepienia implantów

Implanty z antybiotykiem będą zapobiegać zakażeniom

Nowy typ implantu – stomatologicznego lub ortopedycznego – pokrytego specjalną warstwą polifenolową z antybiotykiem stworzył zespół prof. Mariusza Sandomierskiego z Instytutu Technologii i Inżynierii Chemicznej Politechniki Poznańskiej. Pełna nazwa brzmi „Materiał tytanowy modyfikowany, domieszgowany cynkiem, warstwą polifenolową z przeznaczeniem na implant ortopedyczny i stomatologiczny oraz sposób jego wytwarzania”.

Jak podkreśla naukowiec z Poznania, częstym problemem podczas użytkowania implantów są zakażenia poimplantacyjne. – Chcemy, by tego typu zabiegi były bezpieczniejsze. Możemy to uzyskać poprzez powierzchnię implantu zmodyfikowaną antybiotykiem, a jak będzie zmodyfikowana antybiotykiem, nie wytworzy się na niej biofilm, a więc warstwa bakterii, którą trudno potem zwalczyć – mówi prof. Mariusz Sandomierski.

Sposób wytwarzania tego typu rozwiązania nie jest jednak prosty. Na implantcie jest tworzona warstwa polifenolowa, w której znajdują się również jony cynku. Z tą właśnie powłoką wiąże się antybiotyk. – Możemy sobie wyobrazić kubek, w którym zostawiamy na dłużej herbatę, przez co tworzy się brązowa, ciemna powłoczka na jego powierzchni. Nasze warstwy polifenolowe są podobne. Polifenol ma silną adhezję, silnie się wiąże z tytanem. Następnie wprowadzamy tam jony cynku. Cynk ma silne zdolności koordynacyjne (łączące) i koordynuje zarówno z polifenolem, czyli

z tą warstwą, jak i z lekiem – tłumaczy prof. Mariusz Sandomierski.

Cynk jest więc łącznikiem pomiędzy warstwą polifenolową a lekiem. By medykament dostał się do organizmu, najpierw uwalnia się cynk, co powoduje dłuższe wydzielanie samego antybiotyku. – W naszym przypadku uwalnianie leku trwało ok. 80 godzin, tyle byliśmy w stanie zmierzyć. Mógł się uwalniać dłużej, ale nasza aparatura już nie zdołała go wychwycić – zaznacza poznański naukowiec.

Zgłoszone do konkursu DGP rozwiązanie opiera się na zastosowaniu jednego konkretnego preparatu. – W innych patentach mamy kolejne antybiotyki oraz substancje czynne wspomagające, np. narost kości.

Możemy wytwarzać różne implanty i staramy się na to zdobywać finansowanie – mówi prof. Mariusz Sandomierski. ©

Wynalazek zespołu prof. Mariusza Sandomierskiego z Instytutu Technologii i Inżynierii Chemicznej Politechniki Poznańskiej

Orteza do rehabilitacji ręki

Urządzenie pomoże usprawnić osobno palce, kciuk i nadgarstek

Przełomowe rozwiązanie łączące robotykę z rehabilitacją kliniczną powstało w Zielonej Górze. Autorem wynalazku wraz z grupą studentów jest mgr inż. Zdzisław Wałęga z Instytutu Inżynierii Mechanicznej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Pomysł na robotyczne urządzenie rehabilitacyjne zrodził się parę lat temu. – Przyszedł do mnie student po udarze i zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak przebiega rehabilitacja, wspominał, że są z nią problemy. Postanowi-

łem coś w tym kierunku zrobić – wspomina mgr inż. Zdzisław Wałęga.

Przez rok w różnych miejscach Polski trwały konsultacje z rehabilitantami i neurochirurgami. Dotyczyły one kwestii przebiegu procesu usprawniania ręki. Żeby prace konstrukcyjne opierały się na rzeczywistym modelu ludzkiej kończyny, powstał odlew ręki ze specjalnego elastycznego tworzywa. Projektowanie urządzenia zaczęło się od paliczek, ale później, po konsultacjach z lekarzami, okazało się, że potrzebna jest rehabilitacja osobno: palców, kciuka i nadgarstka.

– Cały system elektroniczny w ortezie zrobiliśmy sami. Są trzy opcje na każdy podzespół, czyli w rehabilitacji palców mamy trzy wzniosy. Jeżeli przykurcz jest bardzo mocny i mięśnie są mocno ściśnięte, możemy co dwa stopnie podnosić palce cyklicznie. Ustawiamy cykliczność, kąt oraz siłę naciągu na palce, łokieć czy też nadgarstek – mówi mgr inż. Zdzisław Wałęga.

Co ważne, każdy z elementów ortezy może działać oddzielnie, bo jak dodaje wynalazca, możemy osobno rehabilitować nadgarstek, tylko kciuk, palce lub palce i kciuk albo palce i nadgarstek.

Wynalazek został już zaprezentowany na kilku międzynarodowych wystawach. – W zeszłym roku we wrześniu na Międzynarodowych Targach Narodowości i Innowacyjności w Zagrzebiu, gdzie pokazywano rozwiązania z całego świata, ku naszemu zaskoczeniu zdobyliśmy złoty medal. Jednak najbardziej ucieszyła nas tam nagroda specjalna za najlepszy europejski wynalazek. W Tajlandii na światowych targach również zdobyliśmy złoty medal oraz specjalną nagrodę tamtejszego Ministerstwa Nauki i Wynalazczości – podkreśla mgr inż. Zdzisław Wałęga. ©

Wynalazek zespołu mgr. inż. Zdzisława Wałęgi z Instytutu Inżynierii Mechanicznej Uniwersytetu Zielonogórskiego

Od laboratorium do wdrożenia. Co pokazują nominacje do „Eureki”



Oliwia Czarnocka

rzecznik patentowy, JWP Rzecznicy Patentowi

Nominacje do konkursu „Eureka! DGP – Odkrywamy polskie wynalazki” dowodzą, że współczesna innowacja to nie tylko punktowe rozwiązania, lecz synergia technologii, danych i biologii. Z perspektywy rzecznika patentowego dobrze zaprojektowany plan na zabezpieczenie przed kopiowaniem obejmuje w zasadzie koncepcję techniczną, łącznie z danymi, ze sterowaniem i interakcją i z użytkownikiem.

Orteza z Uniwersytetu Zielonogórskiego to przykład ewolucji mechaniki w stronę zaawansowanej mechatroniki. Tu przewagę buduje nie sama konstrukcja, lecz autorskie algorytmy sterowania i moduł transmisji danych. Rozwiązanie to wpisuje się w globalny trend „home care”, a integracja systemu rejestracji i transmisji danych pozwala na zdalne monitorowanie postępów rehabilitacji przez specjalistów, co umożliwia prowadzenie terapii także poza placówką medyczną.

W medycynie regeneracyjnej przyszłość należy do rozwiązań przewidywalnych. Peptyd UG28 (Uniwersytet Gdański) pokazuje, że precyzja cząsteczkowa wygrywa z klasycznymi metodami biologicznymi. Możliwość łączenia z biomateriałami lub stosowania w inżynierii tkankowej zwiększa elastyczność zastosowań terapeutycznych i umożliwia tworzenie zaawansowanych, miejscowo aplikowanych terapii regeneracyjnych.

Z kolei sterownik silnika dla nanosatelitów (Sieć Badawcza Łukasiewicz) to pokaz umiejętności miniaturyzacji. Innowacja polega na zestrojeniu elektroniki odpornej na promieniowanie z algorytmami zarządzającymi ekologicznym paliwem, co jest ważne dla wykonywania manewrów orbitalnych w warunkach ograniczonej przestrzeni i wysokiej radiacji. Wysoka bariera wejścia dla konkurencji wynika tu nie z jednego podzespołu, lecz z perfekcyjnej integracji całego układu w skali mikro.

Przełomem w diagnostyce jest technologia wykrywania mutacji onkogennych (UG/GUMed). W obszarze tzw. płynnej biopsji kluczowa jest czułość, czyli zdolność do wyłapania zmian genetycznych w pojedynczej komórce nowotworowej. To rozwiązanie o ogromnym potencjale, łączące unikalną metodologię analityczną z konkretnym narzędziem diagnostycznym, co można zastosować w monitorowaniu choroby oraz doborze celowanych terapii onkologicznych.

Nominacje do „Eureki” pokazują, że najskuteczniejsza droga od laboratorium do wdrożenia prowadzi przez technologie zaprojektowane od początku z myślą o rozwiązaniu realnych problemów klinicznych i przemysłowych.

Historia

Mężczyźni z Kondomari przed egzekucją w gaju oliwnym. Zdjęcie Franza-Petera Weixlera



FOT. FRANZ PETER WEIXLER/UNDESARCHIV/WIKIPEDIA

Przepis na grecką tragedię

Wiosną 1941 r. Kreta stała się areną zaciętych walk, o których do dzisiaj zapisano tysiące stron. Tematem rzadko poruszonym jest koszmar ludności cywilnej zgotowany i przez agresora, i przez sojusznika

Sebastian

Pawlina

Słońce nie zdążyło jeszcze wejść nad Attyką, gdy setki ciężarówek jedna po drugiej wjeżdżały na tamtejsze lotniska. Każde z nich w ostatnich dniach powiększono i oczyszczono ze zniszczeń powstałych w trakcie toczonych miesiąc wcześniej walk. W powoli rozrzedzającym się mroku kilka tysięcy niemieckich spadochroniarzy przesiadało się z samochodów do transportowych Junkersów Ju 52. Operacja przebiegała sprawnie, ale tylko do startu pierwszych samolotów. Kurz pokrywający pasy startowe wzbijał się, ograniczając pilotom widoczność. W efekcie zamiast podrywać się do lotu w minimalnych odstępach czasu, załogi czekały, aż znowu będą widzieć dalej niż na kilka metrów. Gdy pierwsza

fala spadochroniarzy w komplecie wyruszyła w stronę Krety, zaczynał się wtorek 20 maja 1941 r. Dramatu dzień pierwszy.

Śniadanie pod bombami

Niewiele wcześniej wyspa została zbombardowana. Nie cała, a tylko wybrane miejsca obsadzone przez greckich, brytyjskich, australijskich i nowozelandzkich żołnierzy. Ci przyzywczaili się już do ciągnących się od kilku tygodni porannych wizyt niemieckich lotników i towarzyszących im eksplozji. Do tego stopnia zaakceptowali to jako powtarzalny element codzienności, że – jak zanotowano w dzienniku bojowym jednego z oddziałów – „jak tylko samoloty zniknęły nad morzem, wszyscy ruszali na śniadanie, które było przygotowywane podczas nalotu”.

Nie wiedzieli, że tym razem jest to wstęp do czegoś większego. Sprawę z tego zdawało sobie zaledwie kilka osób, wśród nich 52-letni Nowozelandczyk, z wykształcenia dentysta, gen. Bernard Freyberg, dowódca mających bronić Krety sił Creforce. Krótco przed godz. 8 usiadł do śniadania. Towarzyszący mu oficer spojrzął w pewnym momencie na niebo upstrzone niezliczonymi samolotami niemieckimi, od których po chwili zaczęły się oddzielać małe, białe punkciki – spadochroniarze. Mężczyzna miał poczucie, że przerwanie generałowi śniadania, nawet w takiej sytuacji, mogłoby zostać uznane za mało eleganckie. Milczał więc. W końcu tamten uniósł wzrok, sprawdził godzinę na zegarku i rzucił: „Są cholernie punktualni”. Po chwili wrócił do jedzenia.

Jego spokój miał solidne podstawy. Po pierwsze, dzięki pracy brytyjskich kryptologów wiedział o niemieckich planach, a po drugie, jako wojskowy z wieloletnim doświadczeniem przeżył już nie jeden odwrót, który nie zawsze jest końcem, a często jedynie częścią wojny, możliwą opcją, którą zawsze warto mieć w zanadrzu i której nie należy demonizować. Miał świadomość, że jeśli nie zdoła utrzymać wyspy, to ją po prostu opuści.

Tego luksusu nie mieli Kreteńczycy, dla których rozpoczynająca się inwazja oznaczała groźbę rozsypania się ich świata. Co gorsza, w tej historii wszystko – od polityki mocarstw do pogody – układało się dla nich jak najgorzej.

Kontynentalne preludium

Zacząło się od sukcesów Greków w wojnie z Włochami. Rzym już w latach 20. próbował zająć część Grecji. Wtedy interwencja Ligi Narodów wygasła konflikt. Ale początek II wojny światowej rozpalil go na nowo. Nocą z 27 na 28 października 1940 r. włoski ambasador w Atenach wręczył greckiemu premierowi żądanie zgody na okupację kraju. Po odrzuceniu ich „propozycji” Włosi zaatakowali. Uderzenie wyszło z terenu podległej Rzymowi Albanii. Początkowo Benito Mussolini mógł być zadowolony z postępów swoich wojsk, jednak gdy po stronie napadniętych stanęli Brytyjczycy, to Grecy zyskali przewagę.

Układ sił uległ ponownej zmianie wraz z pojawieniem się czwartego gracza – III Rzeszy. Przygotowujący się do inwazji na ZSRS Niemcy dostrzegli w przyłączeniu się Wielkiej Brytanii do konfliktu grecko-włoskiego zagrożenie własnych interesów. Obawiali się, że lotniska na Peloponezie i Krecie mogą posłużyć za bazy startowe dla nalotów alianckich na kluczowe dla niemieckich planów pola naftowe na terenie Rumunii. 6 kwietnia 1941 r. rozpoczęli więc atak na Grecję (uderzyli też na Jugosławie). Pomimo odwagi obrońców odnieśli błyskawiczny sukces. Ostatnie walki wygasły 30 kwietnia.

Brytyjczycy i Grecy ewakuowali dużą część sił znajdujących się w kontynentalnej części Europy. Odwrót odbywał się jednak w zamieszaniu, przez co utracono część uzbrojenia. Zniszczone albo pozostawione na łup Niemców

i Włochów zostały – jak w książce „Kreta. Podbój i opór” podaje Antony Beevor – 104 czołgi, 192 działa polowe, 164 działa przeciwpancerne i „niemożliwa do oszacowania liczba zapasów”. Najbardziej brzemienne w skutki okazały się straty w lotnictwie, które wyniosły 209 samolotów.

Grecy stracili m.in. całą 5. Dywizję Kreteńską – ojców, mężów, synów, braci. Bodaj jedynym, który zdołał dostać się z powrotem na wyspę, był dowódca jednostki. Uznany za dezertera zginął podczas ulicznej awantury.

Gdy kilka miesięcy wcześniej dywizję przenoszono na front, Brytyjczycy obiecali, że ochronią Kretę. Chcąc dotrzymać słowa, Winston Churchill w rozmowie z szefem Imperialnego Sztabu Generalnego powiedział, że „należy dołożyć wszelkich starań, aby dostarczyć broń czy sprzęt umożliwiający sformowanie dywizji greckiej na Krecie”. Uważał, że utrata wyspy z powodu niedostatecznego uzbrojenia byłaby zbrodnią. Nie dodał tylko, że konsekwencje tej zbrodni najbardziej odczują mieszkańcy wyspy. Wielka polityka z zasady nie dostrzega człowieka.

Stój spokojnie, Turku!

Niemiecka inwazja na wyspę, znana jako operacja „Merkury”, przypominała wyścig zółwi, z których żaden nie chce wygrać. Niemcy od pierwszych chwil musieli się mierzyć z trudnościami, których albo wcześniej nie przewidzieli, albo nie chcieli dostrzec. Jednymi z poważniejszych stały się problemy spadochroniarzy ze sprawnym przejściem do ataku zaraz po wyładowaniu. W trakcie skoku nie mieli oni przy sobie, poza pistoletami, żadnej broni. Tę musieli odnaleźć w zasobnikach. W efekcie w pierwszych chwilach po znalezieniu się na ziemi byli bezbronni, a dodatkowo tracili cenny element zaskoczenia. Tym, co ich uratowało, była Luftwaffe, która niepodzielnie rządziła na kretańskim niebie i paraliżowała ruchy aliantów.

Brytyjczycy i Grecy nie mieli żadnego wsparcia lotniczego. Nieliczne ocalałe po kwietniowych walkach samoloty już wcześniej odesłano do Egiptu. Do tego wiele oddziałów było kiepsko uzbrojonych. Brakowało dział, karabinów maszynowych. Zostały w kontynentalnej Grecji. Dlatego też niektórzy brytyjscy oficerowie starali się uzbroić mieszkańców, choćby i w stare karabiny, ale plan ten spotykał się raz z niechęcią wyższego dowództwa, a innym razem rozbił się o powolność w działaniu. Nie powiodła się również próba sformowania z ludności cywilnej Gwardii Krajowej.

Fiasco tych działań miało katastrofalne skutki dla mieszkańców wyspy, którzy rwali się do działania. „Walka o wolność, gdy się raz zaczyna/ Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna” – pisał w „Giaurze” George Byron. Słowa skreślone na początku XIX w. i odnoszące się do walki Greków o niepodległość szczególnie pasowały do tych żyjących na Krecie, gdzie powstania i rewolucje miały długą tradycję. W samym XIX w. co najmniej siedmiokrotnie Kreteńczycy stawali do walki z okupującym wyspę Imperium Osmanów. Buntować potrafili się również w wolnej Grecji, tak jak w 1938 r.,

II WOJNA ŚWIATOWA

gdy nie zgadzali się z polityką rządu. Doświadczenia kilku pokoleń, surowość życia na wyspie oraz górzyste, sprzyjające działaniom partyzanckim ukształtowanie terenu sprawiały, że walka o wolność z najeźdźcą była dla mieszkańców Krety oczywistością wyrażaną w powiedzeniu „Stój spokojnie, Turku, aż naładuję karabin”. W maju 1941 r. ponownie zaczęło ono wybrzmiewać na całej wyspie.

Piekło na ziemi

Za sprawą splotu wydarzeń, zaniechań i fałszywie pojmowanej ostrożności los Kreteńczyków został przypieczętowany, zanim ktokolwiek zdążył to zauważyć. Wszystko rozgrywało się przeciwko nim. Nawet działania aliantów, którzy zrobili dużo, aby przegrać na Krecie. Nie tylko nie zadbali o odpowiednie uzbrojenie, lecz także podejmowali błędne decyzje albo czekali z nimi za długo. Jak tamtego pierwszego ranka, gdy Freyberg mimo desantu postanowił dokończyć śniadanie.

Największą aliancką zbrodnią stało się niewykorzystanie kompletu danych na temat niemieckich planów. Pracujący w podlondyńskim Bletchley Park kryptolodzy już w kwietniu wiedzieli i informowali zwierzchników o planach operacji powietrznodesantowej. Churchill, który miał je w ręku, uważał, że Kreta może się stać punktem zwrotnym wojny, pierwszym znaczącym zwycięstwem aliantów. Z niezrozumiałych powodów inne zdanie mieli jego oficerowie kierujący działaniami zbrojnymi w basenie Morza Śródziemnego. Uznali, że nie mogą zrobić niczego, co każe się Niemcom domyśleć, iż znają ich tajemnice. Bali się, że Wehrmacht zmieni wtedy kody, co utrudni aliantom dalszą walkę. Świadomie popełniali więc błędy, takie jak przygotowywanie się do obrony przed desantem morskim, a nie powietrznym. Przy okazji rzucili Kreteńczyków pod niemieckie lufy.

Na los mieszkańców Krety wpłynęła również zaciętość starć. W trakcie niespełna dwóch tygodni walk napastnicy stracili kilka tysięcy ludzi – zabitych, rannych i zaginionych. Jeśli wierzyć świadkom, w wielu miejscach trupy leżały setkami. Część spadochroniarzy zginęła z rąk Greków, którzy rzucali się na wrogów z nożami, siekierami i widłami. Niemcy znajdowali później ciała swoich kompanów ze śladami cięć i pchnięć. Inni zaczepiali się spadochronami na drzewach i w takiej pozycji byli zabijani.

Niemalą rolę w budowaniu atmosfery rzezi odegrała wysoka temperatura. Jeden z brytyjskich żołnierzy, cytowany przez Calluma MacDonalda w jego „Krecie 1941”, mówił: „Potykałem się o stopy niemieckich trupów – które leżały tam już od trzech czy czterech dni. Ciała popuchły tak, że niemal podwoiły swoją objętość i dosłownie wylewały się z mundurów. Zdawało się, że gdziekolwiek stanę, stąpam po gąbczastym, przypływającym o młodości ludzkim mięsie. Kilka razy przewracałem się i padałem na te obrzydliwe stopy, z których bił taki odór, że nie mogłem powstrzymać się od wymiotowania”. Wiele ciał zostało okaleczonych przez żerujące na nich zwierzęta. Powstałe w ten sposób rany

Niemcy mylili z tymi zadawanymi przez Kreteńczyków.

W chaosie panującym na wyspie wśród spadochroniarzy zaczęły krążyć opowieści o torturowanych bezbronnym jeńcach. Wśród tych, którzy przeżyli, zrodziło się napędzane napięciem bitewnym oraz wściekłością za śmierć towarzyszy pragnienie zemsty na cywilach. A ponieważ ci biorący udział w walkach nie nosili żadnych oznak regularnych formacji, w oczach Niemców stali się partyzantami, którzy walczą podstępnie i nie zabijają, lecz mordują. Co z nimi robić, spadochroniarze mieli zapisane w swoich „Dziesięciu przykazaniach dywizji spadochronowej”. Tam pod nr 9 mogli przeczytać: „Z regularnym wrogiem walcz po rycersku, ale nie miej litości dla partyzantów”.

Egzekucja bez sądu

Jak głęboko te przekonania wniknęły w umysły żołnierzy mających być elitą Wehrmachtu, dowodzi to, że pierwsze aresztowania podejrzanych o udział w walkach nastąpiły już 21 maja, w wioskach Missiria i Perivolia, leżących na północnym wybrzeżu, tuż obok Retimno. Przez dwa dni 36 mężczyzn w wieku poborowym było trzymany w zamknięciu. 23 maja, po tym jak jeden z niemieckich dowódców wydał rozkaz rozstrzelania cywilów schwytanych z bronią, palenia wiosek oraz brania zakładników, żołnierze wyprowadzili ich na plażę i zaczęli do nich strzelać. Zauważyli to stacjonujący niedaleko Australijczycy i natychmiast rozpoczęli ostrzał z dział artyleryjskich. W powstałym zamieszaniu czterech Greków uciekło. Jeden z nich zmarł później od ran. Następnego dnia spadochroniarze rozstrzelali w tym samym miejscu blisko 50 osób, w tym kobiety, dzieci i 90-letniego, ślepego starca.

Również 24 maja w Alikianos, znajdującym się niedaleko Chanii, Niemcy wykonali egzekucję na sześciu złapanych. Jeden z nich, Vassilis Drakakis, przeżył. W ciągu kolejnych tygodni wioska dwukrotnie stawała się sceną masowych represji. 2 czerwca okupanci rozstrzelali publicznie 42 mężczyzn, 1 sierpnia kolejnych 118 ludzi, którym najpierw kazali wykopać groby. Wśród nich był Drakakis.

Jeszcze w maju ukazały się kolejne rozkazy dające wojsku podstawę do mordowania ludności cywilnej. Najpierw z Berlina wyszło polecenie Hermana Goeringa, który nakazał dowódcemu operacji „Merkury” gen. Kurtowi Studentowi, aby wziął odwet za rzekome zbrodnie na spadochroniarzach. Ten z kolei 31 maja, czyli jeszcze podczas trwania walk, wydał rozkaz, który rozpoczął się od słów: „Jest pewne, że ludność cywilna, włącznie z kobietami i chłopcami, brała udział w walkach, dokonywała sabotażu, okaleczała i zabijała rannych żołnierzy. Dlatego najwyższy już czas, aby walczyć z wszystkimi wypadkami tego rodzaju, wprowadzić represje oraz karne patrole, które trzeba przeprowadzić z przykrym terrorem”.

Wśród zalecanych działań znalazły się rozstrzelania, palenie całych wiosek, eksterminacja ludności męskiej na wybranych obszarach oraz nakładanie gry-

wien, co w zestawieniu z pozostałymi opcjami brzmi jak pomyłka. Student nie próbował nadawać represjom choćby pozorów legalności. Chciał, aby egzekucji dokonywały oddziały, które doświadczyły „okrucieństw”. Jako doświadczony żołnierz musiał sobie zdawać sprawę z tego, że było to jednoznaczne z akceptacją chęci zemsty jego podwładnych. „Zważywszy okoliczności, oddziały są do tego uprawnione i nie ma potrzeby, aby bestie i morderców osądzały wojskowe trybunały” – pisał.

Niczym ponury żart brzmi w tym momencie to, że grupa śledczych, którzy przylecieli do Berlina, po kilku tygodniach badania zwłok rzekomo pomordowanych spadochroniarzy uznała, że na całej wyspie ślady okaleczania przez ludzi nosi 25 ciał. Większość ran powstała już po śmierci.

W gaju oliwnym

Do mordu o największej skali doszło w położonej w głębi łądu, na zachodzie wyspy, wsi Kandanos. Jej mieszkańcy 24 maja urządzili zasadzkę na przemieszczający się pobliską drogą niemiecki oddział. 3 czerwca 1941 r. spadochroniarze wrócili. Najpierw zabili 180 mieszkańców i wszystkie zwierzęta domowe, a na koniec podpalili domy. Na zgłiszczach postawili dużą, drewnianą tablicę. Napis na niej głosił: „W odwecie za bestialskie zamordowanie plutonu spadochroniarzy i półplutonu saperów przez działających z zasadzki uzbrojonych mężczyzn i kobiety, Kandanos zostało zniszczone”.

Oddziałem, który dokonał tej zbrodni, dowodził prawdopodobnie por. Horst Trebes. Wątpliwości co do jego udziału nie ma w odniesieniu do wypadków z dnia poprzedniego. 2 czerwca do wsi Kondomari, leżącej 40 km na północ od Kandanos, przyjechali spadochroniarze z Trebesem na czele. Towarzyszył im Franz-Peter Weixler, fotograf wojskowy, który od początku inwazji dokumentował przebieg walk.

Ponad cztery lata później, 11 listopada 1945 r., Weixler opowiedział o swoich przeżyciach z tamtego dnia śledczym zbierającym materiały do procesu Goeringa w Norymberdze. Zaczęło się od rozmowy z nieznanym z nazwiska porucznikiem, który zachęcał go do udziału w ekspedycji karnej. „Zobaczysz coś ciekawego” – mówił mu. Fotograf próbował przekonać najpierw jego, a później pewnego majora, że opowieści o pomordowanych i okaleczonych spadochroniarzach nie są prawdą. Sam widział wiele ciał okaleczonych przez zwierzęta, przeważnie ptaki, ale ani razu nie dostrzegł, aby cywile znęcali się nad zwłokami, nie mówiąc już o żywych. Obu mężczyznom otwarcie mówił, że to, co chcą teraz zrobić, to zwyczajne zabójstwo. I choć jego słowa trafiły w próżnię, pojechał z grupą egzekucyjną.

Na miejscu zobaczyli ciała kilku żołnierzy. Wszystkie w stanie rozkładu. Weixler zapamiętał, że Trebes, pokazując je, zachęcał podwładnych do zemsty na cywilach. Decydujące w przebiegu wypadków było odnalezienie w jednym z domów w Kondomari bluzy spadochroniarskiej ze śladami po kulach. „Trebes natychmiast kazał spalić dom. Jeden

z mężczyzn przyznał się do zabicia niemieckiego żołnierza, ale nie było możliwe udowodnienie pozostałym żadnych przestępstw ani grabieży, dlatego poprosiłem Trebesa, aby przerwał planowaną akcję i wydał rozkaz powrotu, zabierając ze sobą tylko tego jednego człowieka” – zeznawał.

Próba perswazji zdała się na nic. Niemcy zebrali grupę kilkudziesięciu mężczyzn i zaprowadzili na polanę, między drzewa oliwne. Siedzieli tam tak długo, że część pilnujących zasnęła. W końcu Trebes przez tłumacza oznajmił kobietom, że w odwecie za śmierć niemieckich żołnierzy wszyscy mężczyźni zostaną rozstrzelani. Korzystając z nieuwagi strażników, Weixler pomógł wtedy uciec dziewięciu skazańcom. Chwilę później porucznik „ustawił pozostałych mężczyzn w półkolu, wydał rozkaz strzału i po około 15 sekundach wszystko było skończone. Zapytałem Trebesa, który był bardzo błądy, czy zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił, a on odpowiedział, że jedynie wykonał rozkaz Hermana Goeringa i pomścił swoich poległych towarzyszy. Kilka dni później otrzymał od Goeringa Krzyż Rycerski za swoją «odwagę» na Krecie”.

Miejsce w szeregu

Weixler nie tylko zapamiętał tamte chwile, lecz także udokumentował je na kliszy. Te kilka zrobionych wtedy zdjęć stało się niemy zapisem dramatu, do którego doszło na Krecie w połowie 1941 r. Widać na nich siedzących skazańców, Niemców z bronią, a w końcu egzekucję i ciała. Trudno pozbyć się z głowy tych obrazów. Na jednym z nich dosłownie w ułamku sekundy zostali zamknięci na zawsze mężczyźni próbujący uciec przed kulami.

W kolejnych latach mężczyzna opowiadał znajomym o tym, co widział w Kondomari i dziesiątkach innych miejsc. Fotografie zaś, wbrew poleceniu zwierzchników, zachował. Został za to aresztowany i postawiony przed sądem. W więzieniu siedział od stycznia 1944 r. do kwietnia 1945 r.

Nikt z odpowiedzialnych za zbrodnie na mieszkańcach Krety nie stanął za nie przed sądem. Horst Trebes zginął w Normandii. Kurta Studenta Grecy starali się postawić przed swoimi sądami, ale nie zgodzili się na to Brytyjczycy. Głównodowodzący operacją „Merkury” za zbrodnie na jeńcach wojennych, ale już nie na cywilach, spędził w więzieniu zaledwie kilka lat. A na Hermannie Goeringu ciążyły tyle zarzutów, że jedna grecka wyspa nikogo nie interesowała.

Ale czy tylko Niemcy byli odpowiedzialni za los Kreteńczyków? Oni strzelali i oni palili domy. Ale być może gdyby Brytyjczycy powołali Gwardię Krajową, być może gdyby nie zastanawiali się, czy warto uzbroid Greków, a w końcu gdyby chroniąc życie ludzkie, zaryzykowali ujawnienie tego, co i skąd wiedzą, nie doszłoby do tych wydarzeń? Być może. Skryci w cieniu celów strategicznych i zysków materialnych cywile umykają też pamięci, która mieści epickie bitwy i ich bohaterów niczym eposy homeryckie herosów, ale już nie ludzi zastrzelonych w gajach oliwnych. ©



FOT. WOJTEK GORSKI

Czy banki zjedzą kryptowaluty?

Rafał Woś

Mamy na świecie – zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych – wielki boom na kryptowaluty. Widać go szczególnie, odkąd dwa-trzy lata temu pojawiła się oferta stablecoinów, czyli instrumentów o tyle bezpieczniejszych, że ich wartość jest powiązana z kursem tradycyjnych walut, np. dolara amerykańskiego. To czyni ze stable – takich jak tether – coraz ciekawszą opcję dla zwykłych śmiertelników, a nie tylko dla inwestorów ryzykantów. Z tego powodu ów segment rynku krypto rośnie bardzo szybko. W kwietniu wartość wszystkich znajdujących się w obiegu stablecoinów wynosiła ponad 300 mld dol. W 2030 r. ma to być 3-4 bln dol. Co na to sektor bankowy? Kwestia jest o tyle interesująca, że rewolucja krypto przyszła spoza oficjalnego sektora finansowego. Innymi słowy, to nie żaden JP Morgan czy Bank of America wymyśliły kryptowaluty. To konkurencja, która podbiera im klienta. Coraz skuteczniej.

Ostatnio ciekawą pracę na ten temat napisali ekonomiści amerykańskiej Rezerwy Federalnej Sam Hempel, JP Perez-Sangimino i Jessie Wang. Przyjrzeni się oni dwóm momentom w historii minionego półwiecza, gdy sektor bankowy musiał się zmierzyć z popularnymi innowacjami odpalonymi przez pozabankową konkurencję. Pierwszym takim momentem było pojawienie się funduszy rynku pieniężnego (ang. Money Market Funds, MMF) na początku lat 70. Drugim – trzy dekady później – było wejście do gry PayPala, który oznaczał rewolucję na rynku płatności cyfrowych. Ta pierwsza innowacja dziś może już brzmieć mało ekscytująco. Ale pół wieku temu

przestraszyła banki nie na żarty. MMF-y były rodzajem otwartego funduszu, który pozwalał lokować pieniądze w bezpieczne, krótkoterminowe instrumenty dłużne. W trapiącej wysoką inflacją Ameryce przełomu lat 70. i 80. zaczęły się one rozprzestrzeniać jak pożar po zeschniętej ściółce. Głównie dlatego, że oferowały lepsze oprocentowanie niż nienadążające za wzrostem cen i objęte wieloma regulacjami tradycyjne lokaty.

Podobny popłoch wywołało odpalenie PayPala w 1999 r. Nagle okazało się, że internet może służyć nie tylko do przeglądania stron i gawędzenia na czatach, lecz także do przesyłania pieniędzy. I znowu, tej innowacji nie dokonały banki – stała za nią grupa geeków z Doliny Krzemowej z Peterem Thielem i Elonem Muskiem na czele. I w jednym, i w drugim przypadku banki musiały nadganiać. Za każdym razem działało się mniej więcej to samo. W pierwszej fazie odpowiedź sektora koncentrowała się na stworzeniu teoretycznej ramy pod uregulowanie sektora, który rzucił im wyzwanie. Po jakimś czasie dzięki ich zdolnościom lobbingowym dochodziło do regulacji innowatorów.

To jednak nie wystarczało. W praktyce okazywało się, że popytu na nowe rozwiązania nie da się tak całkiem wygasić. Zwłaszcza jeśli trafiał on w autentyczną potrzebę społeczną (jak lepiej oprocentowane lokaty czy możliwość płacenia online). Równolegle banki podejmowały więc działania naśladowcze. Pojawiały się zarówno imitujące innowacje produkty własne, jak i strategiczne partnerstwa z innowatorami oraz współpraca rozwojowa na poziomie całej branży. Chwilę to trwało. Po pięciu-siedmiu latach bankom udawało się opanować zagrożenie, a rynek obronić.

Oczywiście koszty były. Wejście banków komercyjnych na rynek MMF-ów oznaczało większe otwarcie się tradycyjnego sektora na shadow banking, czyli inwestycje leżące obok albo poza wzrokiem regulatora. To przyniosło wiele systemowych zagrożeń, których kumulacja przyszła w formie kryzysu 2008 r. Czy rewolucja kryptowalut i stablecoinów też zostanie przez banki okiełznana i wchłonięta? Do pewnego stopnia pewnie tak będzie. To już się zresztą dzieje. Z amerykańskich badań wynika, że połowa krajowych banków ma rozwój własnych stablecoinów na liście priorytetów do 2028 r. Nic nowego pod słońcem.

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”



Mniej Więcej

Łukasz

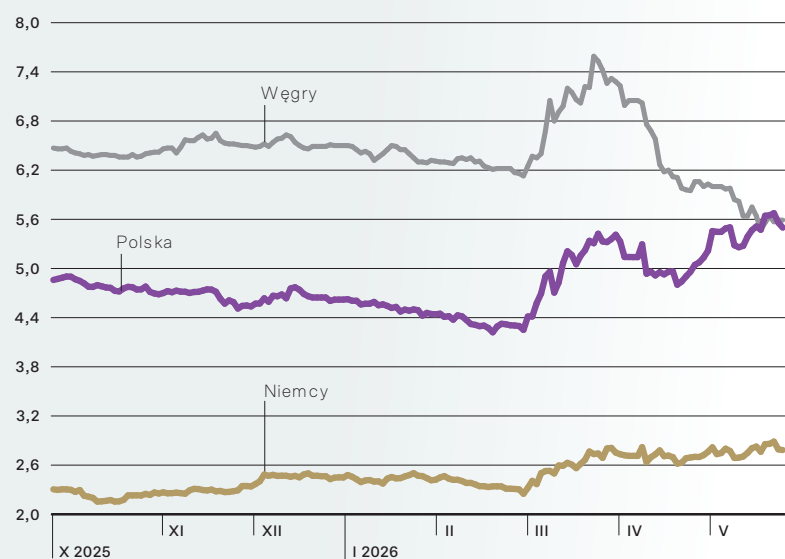
Wilkiewicz

Rentowność obligacji w górę

Rentowność 10-letnich obligacji polskiego rządu przekroczyła w tym tygodniu 6 proc. – pierwszy raz od stycznia 2025 r. Dochodowość papierów pięcioletnich jest w okolicach 5,5 proc. Wszystko to przy głównej stopie NBP utrzymywanej od marca na poziomie 3,75 proc. Wzrost niepewności inwestorów po wybuchu wojny w Iranie (i związany z nią skok inflacji) sprawia, że niemal na całym świecie rentowność obligacji rządowych poszła w górę. Dotyczy to również papierów niemieckich czy UE – stąd popularne w ostatnich dniach komentarze, że „SAFE podrożał”. Do nielicznych wyjątków należą Węgry, gdzie panuje optymizm związany ze zmianą układu rządzącego i z nadziejami na powrót transferów z UE.

©

Rentowność obligacji 5-letnich (proc.)



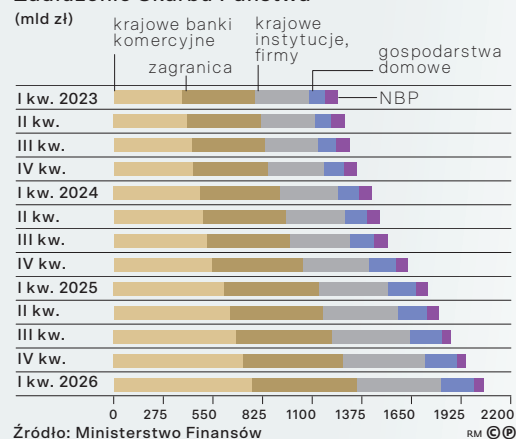
Źródło: Investing.com

RM ©

Kto ma 2 bln naszego długu

Polskim obligacjom nie pomagają wysoki deficyt budżetowy, który trzeba finansować wypuszczając na rynek coraz więcej długu. Zadłużenie Skarbu Państwa przekracza już 2 bln zł. Największym wierzycielem państwa są krajowe banki. W ich portfelach jest 37 proc. ogólnej kwoty zadłużenia. Zachęcane

Zadłużenie Skarbu Państwa



Źródło: Ministerstwo Finansów

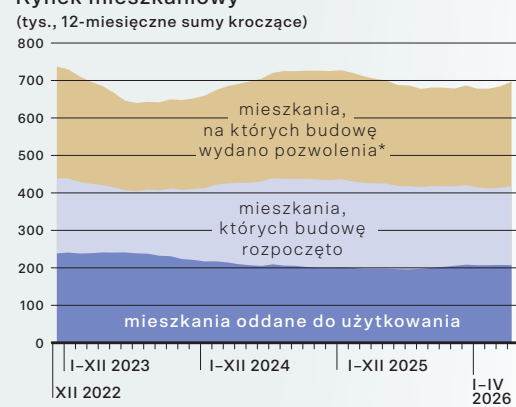
konstrukcją podatku bankowego (od obligacji skarbowych się go nie płaci) systematycznie powiększają przewagę nad inwestorami zagranicznymi (29 proc. kwoty zadłużenia). Coraz większym wierzycielem budżetu jest zwykły Kowalski. Na gospodarstwa domowe (ściślej: obligacje oszczędnościowe) przypadało pod koniec marca 9 proc. ogólnej kwoty zadłużenia Skarbu Państwa.

©

Ruch w mieszkaniach

W pierwszych czterech miesiącach tego roku oddano do użytkownika 60,6 tys. lokali – podaje GUS. To wynik o 2 proc. słabszy niż przed rokiem. U deweloperów nastąpił spadek o ponad 4 proc.

Rynek mieszkaniowy



* lub dokonano zgłoszenia z projektem budowlanym
Źródło: DGP, dane GUS

RM ©

Podobnie wyglądają trendy, jeśli chodzi o start budowy – ogółem było ich 74,3 tys., o 1,9 proc. mniej niż rok wcześniej, a u deweloperów była obniżka o niemal 5 proc. O niemal 16 proc. więcej niż rok wcześniej było natomiast pozwoleń na budowę – ich liczba zwiększyła się do 95 tys.

©